

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet

ISSN 1233-7161

Samarytanka

nr 105 (1/2014)

Styczeń, Luty, Marzec



**Dlaczego warto
zaufać Bogu** str. 1

**Sprowadź go
do domu** str. 18

**Samotność w czasie
świąt** str. 24

W numerze:

- 1** Dłaczego warto zaufać Bogu
O błogostawionych skutkach właściwej postawy wobec Boga.
- 6** Na mojej dłoni wyrysowałem cię
O cudownym uzdrowieniu córki urodzonej z wieloma wadami z powodu dystrofii wewnątrzmacicznej.
- 12** Bóg uzdrowił serce Aronka
Historia dziecka urodzonego z poważną wadą serca.
- 16** Jak Bóg zlitował się nad nami
O cudownym uzdrowieniu córeczki z poważnej choroby.
- 18** Sprowadź go do domu
Wspaniałe świadectwo kobiety, która z Bożą pomocą pokonała wiele problemów.
- 21** Cudowne pomnożenie
O Bożym błogostawieństwie w życiu bezdzietnego małżeństwa.
- 24** Samotność w czasie świąt
O gościnności wobec samotnych ludzi.
- 26** Moje świadectwo
Wzruszające świadectwo matki dziecka, u którego po urodzeniu zdiagnozowano guza mózgu i wodogłowię.
- 30** Andrzejki
O odwadze dzielenia się prawdą Słowa Bożego.
- 31** Wyprowadził mnie z niedoli
Historia z życia młodego człowieka uwikłanego w alkohol i narkotyki.
- 35** Świadectwo nawrócenia
O błogostawionym wpływie żony na męża.
- 36** Służba muzyczna
O wykorzystaniu talentu dla chwały Bożej.
- 38** Bóg przemawia w ciszy
O ważnych aspektach duchowego życia.
- 40** Wykorzystując czas
Zachęta do ustalenia właściwych priorytetów
- 43** Z Jezusem w łodzi życia
O konieczności obecności Pana Jezusa w łodzi naszego życia.
- 48** Ciasteczka owsiane i sałatka jarzynowa
czyli Przepisy Samarytanki

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet
Samarytanki - kobieta, która powiedziała innym, kim stał się dla niej Jezus

Wydawca: Wydawnictwo Chrześcijańskie ARKA, ul. Błogocka 28, 43-440 Cieszyń Redaktor naczelna: Tatiana Ilczuk-Hydzik
Tłumaczenie tekstów: Małgorzata Mocha Korekta stylistyczna i skład: Jolanta Chwastek Druk: Wydawnictwo ARKA.
Nakład: 2500 egz. Zdjęcia i grafika: www.sxc.hu, www.fotolia.com. Wszelki przedruk tekstów za zgodą redakcji.



Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy
we mnie - niech przyjdzie
do Mnie.

Dlaczego warto zaufać Bogu?

Zaufanie to dzisiaj dla niektórych z nas trudne słowo. Badania socjologiczne wskazują, że coraz mniej ufamy politykom i systemowi bankowemu. Straciliśmy zaufanie do wielu przywódców religijnych. Zbyt wielu ludzi nie ufa swoim współmałżonkom i przyjaciółom.

Czy zdarzyło wam się kiedykolwiek podzielić z kimś tym, do czego, w waszym mniemaniu, powołał was Bóg, ufając, że ten ktoś przejmie się tym wszystkim tak samo jak wy, ale doznałyście z jego strony tylko zawodu? Może spotkałyście się z drwiną, a nawet z zakwestionowaniem waszego marzenia? Być może podzieliłyście się nim z rodziną, oczekując z jej strony zachęty, ale zamiast tego krewni starali się wybić wam to marzenie z głowy, a może nawet nie użyli żadnych słów, ale dali wam do zrozumienia, że za wysokie progi...

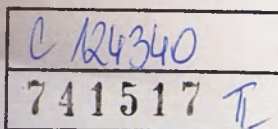
Łatwo jest zwątpić i popaść w zniechęcenie, kiedy nie widać żadnych oznak spełnienia swoich marzeń. Prawda jest taka, że nieważne, kim wydaje ci się, że jesteś, ponieważ Bóg wie, kim jesteś naprawdę. Ale kiedy Bóg wzywa, wyobrażamy sobie, że postawi On nas na ścieżce, która prowadzi prosto, z jednego miejsca do drugiego, i że ujrzymy, jak Boży plan względem nas

EO-15/20/32



14.01

46.50



zacznie się rozwijać w oczywisty i zrozumiały sposób. Jednak zazwyczaj sprawy te wyglądają inaczej. Wiele marzeń jest zasnutych mgłą, przez którą musimy brnąć i w której często schodzimy na manowce. Wówczas potrzebna jest ufność, że Bóg skieruje nas we właściwą stronę.

W 3. rozdziale Księgi Przysłów, w wierszach 5 i 6 czytamy nakaz:

Poznawaj Go na każdej swej drodze, a On twe ścieżki wyrówna. Z całego serca Panu zaufaj, nie polegaj na swoim rozsądku.

Nauka zaufania Bogu zmieniła moje życie. Nie dokonało się to w jakimś jednym porywie serca, ale stopniowo – krok za krokiem. Zaczęłam prosić Boga, by pokazał mi, jak mam uznawać Jego wolę w każdej dziedzinie mojego życia. Chodziło mi o wybór tego, o czym mam myśleć, jak wydawać pieniądze i jak traktować innych. Świadomie przedłożyłam Bogu wszystkie dziedziny mojego życia i ponownie Mu je ofiarowałam. Uznałam, że nic nie jest zbyt małe lub bez znaczenia, i poprosiłam Ducha Świętego, by wskazywał mi wszystko to, czego powinnam się pozbyć.

Mijały miesiące i lata, zanim zrozumiałam, że zrealizowanie jakiegoś zadania jest dość łatwe, lecz pokonanie złych przyzwyczajzeń czy samolubnych zachowań, którym ulegało się przez całe lata, jest ćwiczeniem o wiele bardziej ambitnym. Nasza wola – wraz z kryjącymi się za nią obawami – sprawia, że zwyciężanie w pewnych obszarach życia jest trudne. Na szczęście, choć będziemy kuszone i sprawdzane na wiele różnych sposobów, jeśli nauczymy się naginać naszą wolę do woli Bożej, On sam nauczy nas, jak zwyciężać w każdej dziedzinie.

Słowo Boże rozróżnia trzy rodzaje sprawdzania: szatan kusi ludzi, ludzie sprawdzają Boga i Bóg sprawdza swój lud.

Trzeba pamiętać, że Bóg nigdy nas nie kusi ani nie zastawia pułapek, by sprawdzić, czy będziemy Mu wierni. Bóg nigdy nie jest twórcą zła. Szatan nim jest. Jednak celem szatana jest sprawienie, abyśmy o tym zapomnieli. Po drugie, potrafię przywołać na myśl wiele momentów w moim życiu, kiedy chciałam, by Bóg dał mi jakiś znak, że słyszy moje modlitwy lub wie, co się dzieje w moim życiu. Postrzegam je obecnie jako brak zaufania – a co więcej, brak wiary w to, że Bóg kocha mnie bezwarunkowo. Zrozumiałam, że jest to jeden z największych trików szatana, byśmy kwestionowały miłość Bożą. Zwątpienie w Jego miłość do nas obraża Boga Ojca najbardziej.

Chciałabym jednak zaznaczyć, iż uważam, że stawianie pytań Bogu, gdy są ku temu powody, jest właściwe. Bóg chce, byśmy byli aktywni w naszej wierze. Wielokrotnie tak czyniłam i jakże byłam zaskoczona, gdy otrzymywałam odpowiedzi w Biblii dokładnie na nurtujący mnie problem. Czasami byłam zdziwiona, iż czytając dany fragment wcześniej, nie zapamiętałam jego treści, bo teraz wydawało mi się, jakby był napisany tylko dla mnie.

Parafrazując wcześniej wspomniany tekst z Prz 3, 5-6, nasuwa mi się kolejna ważna myśl: „Zaufaj Bogu z głębi swego serca; nie próbuj rozumieć wszystkiego po swojemu. Nasłuchuj głosu Boga we wszystkim, co czynisz; On jest tym, który będzie cię utrzymywał na szlaku”.

Taka jest obietnica dla nas – jeśli Mu zaufamy i nie będziemy próbować rozumieć wszystkiego po swojemu, On będzie prowadził nas ku wierze. On wie, że czasami nie będziemy w stanie pojąć, dlaczego coś się stało. I powiada nam, że nawet jeśli nie potrafimy zaufać innym, możemy zaufać Jemu. Choć rzeczywistość jest taka, że zaufanie Bogu

nie oznacza trwałego zabezpieczenia przed bólem życia, a jedynie to, że nasz Ojciec będzie przy nas trwał.

A dlaczego Bóg sprawdza swój lud? Byśmy poznali serce Boga, zrozumieli, że jesteśmy kochani i akceptowani, i byśmy się nauczyli doceniać i akceptować potrzebę pokładania całej ufności w Bogu. I dostrzegali, jak wiele możemy zdziałać, kiedy Mu zaufamy. W Biblii mamy wiele takich przykładów... Najbardziej poruszyła mnie historia Abrahama, który posłuszny Bogu, z wiary chce ofiarować Mu swego syna. Wiele razy wcześniej Bóg przemawiał do niego i choć popełniał błędy, w końcu nauczył się trudnej lekcji całkowitego zaufania Bogu. Zdał test zaufania na piątkę. Został nazwany nie tylko przyjacielem Boga, ale również ojcem wielu narodów.

Wiele lat zajęło mi zrozumienie, że Bóg po prostu chce, byśmy przyjęli to, co On dla nas dotąd zrobił i w tym spoczęli. Odkryłam, że gdy tak usilnie starałam się wieść dobre życie, skupiałam się na sobie. Dostrzegałam wtedy tylko swoje niedociągnięcia i upadki. Gdy jednak spuszczam wzrok z samej siebie i swoich dokonań, i zamiast tego koncentruję się na miłości Boga i obcowaniu z Chrystusem, odnajduję w tym niesamowitą radość i spokój. Jezus chce, byśmy żyli w Jego zwycięstwie, odpocznieniu, bo On już pokonał wroga i zapłacił za nasz grzech.

**Bożym celem dla nas jest szczęście,
ale nie takie, jakiego szukają
zaabsorbowani sobą ludzie.
Poszukujemy autonomii,
niezależności, lecz Bożym celem jest,
abyśmy znaleźli szczęście
we wspólnocie z Nim. Bóg pragnie
naszego szczęścia, lecz jako Stwórca
zdefiniował również, co nim jest.
Szczęście to wieczne
cieszenie się Bogiem.**

Naszym błędem bardzo często jest to, że poszukujemy w niewłaściwych miejscach. Poszukujemy szczęścia w stworzeniu, a nie w Stwórcy. Poszukujemy zmysłowych przyjemności, a nie wspólnoty z Bogiem. Wybieramy to, co namacalne, zamiast tego, co nie-namacalne, widzialne, zamiast tego, co niewidzialne, przemijające, zamiast tego, co nie przemija. Adam wybrał Ewę ponad Boga. Przedkładamy siebie, innych lub różne rzeczy ponad Boga. Poszukujemy miłości w niewłaściwych miejscach.

Przyglądając się tym trzem rodzajom kuszenia, natychmiast dostrzegamy jałowość pierwszych dwóch. Gdy szatan nas testuje lub gdy my testujemy Boga, niczemu to nie służy. Jednak gdy Bóg nas doświadcza, ów test służy nam – ma pokazać, co w nas tkwi.

On mówi nam, że jesteśmy silni... w Nim. Po prostu, tylko z Bogiem przejdziemy zwycięsko przez doświadczenia i problemy, jakie każda z nas przechodzi i przechodzić będzie. W takich momentach modłę się do Boga, powierzając Mu siebie i obdarzając Go swoim zaufaniem, mówiąc: „Ciekawa jestem Twojego, Boże, działania w rozwiązaniu tego problemu”. W takiej postawie nie ma miejsca na strach, rozpacz, ale mam radość, poczucie bezpieczeństwa, że mogłam zrzucić ten problem na Kogoś, kto wie, jak go rozwiązać.

**Bardzo cenię sobie przyjaźń z Bogiem
i to do tego stopnia, że ze wszystkim
przychodzę do Niego, jak do najlepszego
przyjaciela. On mnie nigdy jeszcze
nie zawiódł i wierzę, że tak będzie zawsze.
Przekonałam się, że Bóg jest wierny
swym obietnicom.**

Bóg używa problemów, doświadczeń i prób, by wzbudzić w nas wiarę, wzmocnić ją i oczyścić. Bóg jest zainteresowany naszą wiarą, gdyż dzięki niej możemy mieć wspólnotę z Nim. I dlatego użyje wszelkich dostępnych środków, by odwieść nas od niewiary do wiary, od nieufności do zaufania, od świata i jego zmysłowych przyjemności do radości, jaką daje wspólnota z Nim. Dlatego decyduje się nas dyscyplinować, wychowywać i poddawać próbom. Jeśli poddamy się Mu, to zrozumiemy, że Bóg kocha, słyszy, rozumie, panuje i zwycięża. To pozwoli nam znosić cierpienia i wzmocni naszą wiarę.

Wezwanie, by zaufać, jest trudne, zwłaszcza jeśli nasze zaufanie zostało pogwałcone, gdy byliśmy najbardziej bezbronni. Ostatnio przeczytałam książkę pt. „Mocniejsza niż śmierć”. Opisana jest tu historia chłopca wychowującego się w domu, w którym matka piastująca wysokie stanowisko, nadużywa alkoholu i znęca się nad dzieckiem. To, co przeżył ten chłopiec, rzutowało na jego całe życie, także duchowe. Taki most trudno odbudować, szczególnie, jeśli jako dzieci zostaliśmy wykorzystani psychicznie, emocjonalnie, czy fizycznie.

W dzieciństwie, gdy uczymy się, co to jest „normalność” i jak się ją odczuwa, przekonanie, że „normalność” jest tak zła i tak bardzo boli, jest niszczące. Tym, którzy doświadczyli podobnych sytuacji, trudno jest zatrzeć obrazy, które pozostawiają na duszy takie smugi. Może być im bardzo trudno ponownie zaufać ludziom. Wielu spośród nich trudno też zaufać Bogu. Odsuwają się od Tego, który naprawdę jest w stanie wprowadzić ład, bo wierzą, że ma On jakiś udział w ich bólu.

Słuchając wielu kobiet opowiadających o tym, dlaczego trudno im zaufać, wydaje mi się, że nasza zdolność zaufania przywiązana jest do niewłaściwej rzeczy. Jeśli nasze zaufanie wiąże się z Bogiem zachowującym się tak, jak my od Niego oczekujemy, będziemy rozczarowane. Jeśli wierzymy, że możemy zaufać jedynie Bogu odpowiadającemu na nasze modlitwy w sposób, w jaki oczekujemy, będziemy wieść życie żałosne i nieuporządkowane. Jeśli natomiast zaufamy Bogu bez zobowiązań, mogą wydarzyć się cudowne rzeczy. Setki

razy byłam tego świadkiem. Zachęcam do wytrwałości w wierze i zaufania Bogu, ponieważ On jest gotów uczynić coś, co tylko On sam potrafi. Prosi natomiast tych, którzy Go miłują, aby zrobili to, do czego sami są zdolni: „Nieważne, jak rzeczy się mają, uwierz – zaufaj mi, a Ja wszystko dobrze uczynię”.

Przed nami kolejny rok. Postanówmy, że zamiast się obawiać, zamartwiać, raczej zaufamy Bogu. Zachęcam do systematycznego studiowania Biblii. Każda przypowieść, bez względu na to, kim są jej bohaterowie, dotyczy Bożej miłości. Nowy Testament jest pełen opowieści ludzi, których życie radykalnie odmieniła Boża miłość. W przypadku niektórych osób, na przykład kobiety przyłapanej na cudzołóstwie, jedno spotkanie z Jezusem wystarczyło, by zmienić kierunek jej życia.

Znajdziemy wiele takich spotkań: z Samarytanką, z Tabitą, z Marią Magdaleną... Bez względu czy były to spotkania krótsze czy dłuższe, zawsze Jezus zabierał je z miejsca, gdzie były i miłością przywracał je do życia. To samo robi z nami, jeśli Mu na to pozwolimy. Życzę, by i w waszym życiu, drogie Czytelniczki, miał miejsce taki punkt zwrotny. Życzę drogi powrotnej w ramiona naszego Ojca, w których znajdziemy to wszystko, czego w życiu oczekujemy. Na prośbę wielu czytelniczek zamieściłam, wydane ponad 20 lat temu w Punkcie Zwrotnym, świadectwo uzdrowienia naszej córki. Niech zamieszczone w tym numerze świadectwa ludzi współcześnie żyjących będą tego dowodem, bo warto zaufać Bogu.

Z okazji **Nowego 2014 Roku** życzymy wszystkim Czytelniczkom, aby ich marzeniem było stać się mocnymi w wierze kobietami, umiejącymi radośnie i zwycięsko kroczyć przez życie. Życzymy zarazem spełnienia tego marzenia poprzez codzienną osobistą społeczność z Jezusem Chrystusem. Niech ta Wasza społeczność z Jezusem stanie się błogosławieństwem:

Dla Waszych relacji z mężem – abyście stały się dla niego odpowiednią pomocą i radosną towarzyszką życia,

Dla Waszych relacji z dziećmi- abyście zostały obdarzone mądrością w wychowywaniu ich i przygotowaniu do samodzielnego życia,

Dla Waszego otoczenia – abyście emanowały Bożym pokojem i miłością.

Prosimy Was także o przysyłanie swoich świadectw. Podzielcie się z nami swoimi przeżyciami. Napiszcie jakich błogosławieństw udzielił Wam Bóg w minionym roku.

Zaprenumerujcie Samarytankę dla siebie oraz dla waszych krewnych i przyjaciół.

Redakcja

Na mojej dłoni wrysowałem cię



Byłam wtedy 25-letnią kobietą, mężatką oraz matką 3,5 letniej córeczki i spodziewałam się narodzin drugiego dziecka. Miałam za sobą niewątpliwie trudny okres – ukończenie studiów muzycznych. Na drugim roku wyszłam za mąż. Pod koniec trzeciego roku urodziło się nam pierwsze dziecko. Musiałam więc łączyć obowiązki studentki z powinnościami żony i matki. Również na drugim roku studiów zatrudniłam się na pół etatu w szkole muzycznej w miejscowości mojego zamieszkania. Podjęłam się tego wyzwania, bowiem akurat zwolnił się etat z powodu odejścia nauczyciela na emeryturę. To była szkoła, do której uczęszczałam 12 lat, kończąc ją z dyplomem gry na skrzypcach. Byłam tam cenioną uczennicą i z radością zgodziłam się na tę pracę.

Wyjście za mąż podczas studiów nie było w moim przypadku decyzją nieprzemyślaną. Mąż był wychowankiem domu dziecka, półsierotą. Nie miał własnego domu. Rozpoczął studia, ale brak środków materialnych nie pozwolił mu na ich kontynuację. Po roku zrezygnował. Gdy zaczął pracować zawodo-

wo, chciał mieć wreszcie swój kąt i rodzinne ciepło, którego nie zaznał w dzieciństwie. Zdecydowałam się więc na małżeństwo. To była piękna decyzja. Nie wiedziałam jednak wtedy, jak wiele kryje się za nią niespodzianek. Studia dzienne na wydziale instrumentalnym skończyłam w planowanym czasie z dobrym wynikiem, uzyskując tytuł magistra sztuki

Gdy po raz drugi zaszłam w ciążę, minęło pół roku od ukończenia studiów. Mieliśmy swoje M-3 i cieszyliśmy się miłą, bardzo ruchliwą córeczką. Byłam spragniona dłuższego odpoczynku, gdy tymczasem musiałam znosić kolejną ciężką z powikłaniami, a przede mną był przecież poród.

Nadeszła niedziela, 3 października 1971 roku. Czułam się dobrze, więc poszłam wraz z mężem i córeczką na poranne nabożeństwo. Po południu zostaliśmy zaproszeni przez znajomych na pieczenie ziemniaków. Spotkaliśmy tam także młodzież z kościoła, do którego uczęszczaaliśmy. Było bardzo miło. Poczulałam tam jednak pierwsze skurcze, więc

pojechaliśmy do domu, skąd po przygotowaniu niezbędnych rzeczy, udałam się do szpitala. Przyjęto mnie, lecz usłyszałam ironiczne uwagi: "To chyba pomyłka, ona nie wygląda nawet na siódmy miesiąc". Ja jednak wiedziałam, że jest to właściwy czas na poród i pozostałam w szpitalu.

Noc była niespokojna i bezsenna, gdyż co pewien czas miałam silne skurcze. Lekarz i położna przychodzący do mnie co jakiś czas z całym spokojem twierdzili, że czas porodu jeszcze nie nadszedł. Zrozumiałam, że przeszkadzam im w nocnym odpoczynku. Cierpiąc fizycznie i duchowo, modliłam się i prosiłam Boga o rozwiązanie tej trudnej sytuacji. Na porodówce leżałam tylko ja, nie było tym razem innych rodzących kobiet.

Nie od razu jednak otrzymałam odpowiedź od Boga. Dopiero po jakimś czasie odczułam Jego wyraźną obecność: miałam wrażenie, że sufit szpitalnego pokoju zniknął. Byłam tylko ja i Bóg. Usłyszałam w sercu Jego słowa: "Droga córko, dzisiaj przeżywasz coś, o co wcześniej tak gorliwie się modliłaś. Często mówiłaś w modlitwie, że chcesz być taka, jak Jezus – współczująca, posłuszna, że chcesz mi się podobać. Pamiętaj, że droga mego Syna wiodła aż na Golgotę, gdzie był wyśmiewany, bity, opluwany – ale wytrwał do końca. To jest czas twojego krzyża".

Te słowa zapadły głęboko w moje serce. Pomyślałam wtedy, że doświadczeniami, o których mówił Bóg, są właśnie te niezwykłe uwagi, ironiczne spojrzenia i brak współczucia ze strony lekarza i położnej.

Niedługo po tym przeżyciu z Bogiem zaczęłam rodzić. Nastąpiła wrzawa: położna

była zaskoczona, przybiegł lekarz i po zbadaniu mnie stwierdzili, że będzie to poród pośladowy. Zaczęły się pośpieszne przygotowania do akcji porodowej. W tym czasie zawołałam do Boga: "Boże, zachowaj mnie i moje dziecko! Wiem, że możesz zmienić położenie dziecka w moim łonie! Panie, błagam Cię o to!" Mijały sekundy, wszystko było przygotowane, a ja modliłam się nadal: "Boże, dziękuję, że mnie wysłuchałeś, ale przekonaj lekarza, by zechciał mnie jeszcze raz zbadać!"

I rzeczywiście – lekarz jeszcze raz przeprowadził badanie i stwierdził, że płód się odwrócił!

Urodziłam córeczkę. Okazało się, że dziecko jest maleńkie, waży 1600 g, urodziło się z wodogłowiem i rozszczepem podniebienia miękkiego, siniąto. Po chwili stwierdzono zwyrodnienie łożyska. W jednej chwili lekarz i pielęgniarka zmienili swoje nastawienie. Przypadek ten z medycznego punktu widzenia był szokujący. Mogłam to odczytać z ich twarzy.

Po kilkunastu godzinach okazało się, że dziecko nie ma odruchu ssania, ma wadę serca, anemię, cierpi na zanik mięśni. Lekarz

ginekolog bardzo mi współczuł i przygotowywał mnie na pogodzenie się z faktem, że dziecko umrze. Czułam, że jego zdaniem tak byłoby lepiej. Poczyszano mnie, że jestem jeszcze młoda i mogę urodzić następne zdrowe dzieci.

Do tej pory nie przeżyłam jeszcze śmierci nikogo z najbliższych. Po raz pierwszy znalazłam się w tak trudnej emocjonalnie sytuacji. Nie potrafiłam pogodzić się z ewentualną śmiercią mojej córeczki. Nie umiałam poddać się rezygnacji. Modliłam się licząc tylko na działanie Bożej mocy. Nie wiem, skąd miałam tyle wiary, ale ufałam, że mój Bóg może uczynić wszystko. Byłam pewna, że On ją uzdrowi. Wszyscy mi tego życzyli, ale fakt urodzenia chorego dziecka pozosta-



wał faktem.

Po pięciu dniach wyszłam ze szpitala, a nasze dziecko, walcząc ze śmiercią, zostało w inkubatorze. Oddałam jej pół litra krwi. Każdy dzień witałam pytaniem, czy ona jeszcze żyje. Po około sześciu tygodniach lekarz pediatra zdecydował, że mam udać się wraz z dzieckiem karetką pogotowia do zabrzańskiej kliniki,

gdzie zostanie dokonany zabieg związany z wrodzonym. Broniłam moje dziecko przed tym zabiegiem, ale okazało się, że w takich wypadkach rodzice nie mają prawa decyzji. Cóż więc miałam robić? Został uzgodniony termin, w którym miałam zgłosić się z dzieckiem w klinice. Wszystko wyglądało strasznie i beznadziejnie, bo pani doktor nawet nie robiła mi nadziei, że zabieg ten zmieni coś radykalnie u naszego dziecka.

Gdy znalazłam się w domu, zupełnie sama, upadłam na kolana i krzyczałam do Boga, błagając Go o pomoc. Myślę, że tę modlitwę słyszeli wszyscy sąsiedzi w naszym czteropiętrowym bloku.

Dzień przed wyznaczonym terminem zabiegu udałam się do moich rodziców, by poinformować ich o decyzji lekarki i o mającym nastąpić zabiegu. Zastałam w domu tylko mamę, która po usłyszeniu tej wiadomości, po prostu zaniemówiła. Potem poszliśmy do pokoju, by modlić się w tej sprawie. Właściwie nasza modlitwa zaczęła się i zakończyła na słowach: "Drogi Boże..." I jak pamiętam, nic więcej nie byliśmy w stanie wypowiedzieć. Płakałyśmy i modliłyśmy się w językach, jakie poddawał nam Duch Święty. Pamiętam tę modlitwę po dzień dzisiejszy. Niebawem do mieszkania mamy ktoś zadzwonił i nasza modlitwa została przerwana. Poszłam do domu. Nigdy jednak nie zapomnę niezwykłego uczucia, jakie mi pozostało – moje myśli zostały wypełnione czymś, czego nie potrafię określić, jakąś dziwną pustką. Nie potrafiłam już martwić się i płakać. Wiedziałam, że już nic więcej nie mogę uczynić i miałam świadomość, że wszystko złożyłam w ręce Boga, który zdecyduje o wszystkim.

Następnego dnia o siódmej rano udałam się do szpitala, gdzie znajdowała się nasza

córeczka. Usiadłam w poczekalni i czekałam. Widziałam przychodzące do pracy pielęgniarki i lekarzy. Zobaczyłam też lekarkę, na którą czekałam. Po przywitaniu się lekarka zapewniła, że wszystko jest uzgodnione i zaraz po zbadaniu wszystkich niemowlaków przygotuje naszą córeczkę do wyjazdu. Usiadłam więc i czekałam. Minęła godzina... dwie... dwie i pół... Zaczęłam się niecierpliwic; sądziłam, że są kłopoty z karetką czy coś w tym rodzaju. Nagle zauważyłam idącą do mnie lekarkę. Była ożywiona, widziałam rumieńce na jej policzkach. Usiadła obok mnie i z podnieceniem oznajmiła mi, że obwód główki u naszej córki przestał się powiększać i że, być może, wszystko ustąpi. Wobec tego należałoby poczekać z wyjazdem do kliniki.

Możecie sobie wyobrazić, co się ze mną działo! Z lekarką zamieniłam niewiele słów, śpieszyłam się, gdyż chciałam podzielić się tą cudowną wiadomością z rodzicami oraz przedzwonić do męża, który w tym czasie był w pracy. Byłam całkowicie pewna, że to Bóg dotknął główki naszego dziecka i uzdrowił ją. Nie pomyliłam się. Z dnia na dzień obwód główki zmniejszył się. Córeczka zaczęła powoli przybierać na wadze i w wieku dwóch miesięcy osiągnęła wagę 2200 g, co upoważniło szpital do przekazania jej w moje ręce.

**To był pierwszy cud, jaki przeżyła
nasza córka dzięki cudownemu
działaniu Bożej mocy.**

Później przeżywałam jeszcze wiele trudnych chwil związanych z rozszczepem podniebienia u dziecka i brakiem łaknienia. Sześć razy dziennie wlewałam córeczce pokarm do buzi maleńką łyżeczką, choć nie chciała jeść. Później, po nakarmieniu, mu-

ślałam czuwać przy niej, aby zapobiec uduszeniu w razie ulewania pokarmu. Mogło się to łatwo zdarzyć z powodu rozszczepu podniebienia. Były chwile, których nigdy nie zapomnę. Czasami zdarzało się, że nie zauważyłam momentu ulania się pokarmu, a potem z przerażeniem stwierdzałam, że dziecko sinieje. W takich chwilach myślałam, że nie ma już ratunku. Ale kiedy zaczynałam się modlić, Bóg obdarzał mnie mądrością, wskazywał jak mam postąpić i znów cieszyłam się, widząc córeczkę żywą.

W ósmym miesiącu życia dziecko przeżyło pierwszy atak serca, co skłoniło nas do przeprowadzenia koniecznych badań kardiologicznych. Badania te potwierdziły wrodzoną wadę serca – przerost prawej komory. Dziecko znalazło się w klinice, ale już po miesiącu zwrócono nam je, gdyż pielęgniarki nie mogły się uporać ze szczególnymi wymogami związanymi z pielęgnacją naszej córeczki; traciła wagę, nie spała, jej ciało pokryło się ropiejącymi ranami. Odtąd przestaliśmy szukać pomocy u lekarzy. Modliliśmy się do Boga i zaufaliśmy Mu. Powierzaliśmy Mu zdrowie i całą przyszłość naszego dziecka.

Mijały lata. Córka poszła do szkoły, mając prawie osiem lat. Przy zakładaniu karty zdrowia dziecka lekarka zainteresowała się jej wrodzoną wadą serca. Zostałam zobowiązana do wykonania dziecku badań EKG. Do lekarza kardiologa poszłam niechętnie, gdyż zdawałam sobie sprawę, jak może mnie potraktować. Oczywiście, nie myliłam się. Lekarka przywitała mnie zarzutami, podkreślając, że jestem nieodpowiedzialną matką, bo pozbawiam dziecko szansy skutecznej pomocy medycznej przy tak poważnym stanie jego zdrowia. Słowa te stały się dla mnie wyzwaniem. Odpowiedziałam więc, że jestem świadoma tego, iż medycyna nie jest w stanie pomóc naszej córce

i zdecydowaliśmy się na ograniczenie jej kontaktów z lekarzami, ponieważ zauważyłam, że miały one negatywny wpływ na rozwój emocjonalny dziecka.

Po krótkiej wymianie zdań pani doktor wzięła do ręki wykres EKG i, przyglądając mu się uważnie, stwierdziła ze zdziwieniem:

**Zrozumiałam wtedy, że Bóg
dotknął się kolejny raz
naszej córki i uzdrowił jej serce.**

„A to ciekawe! Widzę znaczną poprawę!” Następnie zapytała, gdzie nasze dziecko było leczone i z naciskiem dodała: „Proszę się nie krępować! Przecież najważniejsze jest to, że widzimy poprawę!”

Przypomniałam sobie, jak pół roku wcześniej – była to Wielkanoc – na nabożeństwie w naszym kościele modlono się w szczególny sposób o uzdrowienie naszej córki. Wtedy również i ja zostałam uzdrowiona z migreny i ze skrzywienia kręgosłupa. Wcześniej cierpiałam na bardzo silne, uporczywe bóle głowy, na które nie pomagało żadne lekarstwo. Po modlitwie migrena ustąpiła. W ciągu najbliższych dni odczuwałam kolejno: trwające przez parę godzin ciepło w okolicy krzyża, potem zdrętwienie w prawej nodze, a po jego ustąpieniu ciepło w każdym kręgu – tak jakby je ktoś nastawiał. Od tego czasu nie cierpię na bóle kręgosłupa. Nasza córeczka nie mówiła nam po tej modlitwie, że czuje coś szczególnego. Nie wiedziałam więc, że właśnie wtedy nastąpiło jej uzdrowienie.

Gdy lekarka po raz drugi zapytała mnie, gdzie dziecko było leczone, zapewniłam ją, że nie korzystaliśmy z pomocy lekarzy. Chyba mi nie uwierzyła. Stwierdziła jednak: “To

jest cud”. Powiedziałam jej wtedy, że wierzę w Boga i że modliliśmy się o zdrowie córki, wierząc, że tylko Bóg może jej pomóc. Powiedziałam także, że cieszę się z dzisiejszej wizyty, gdyż mogłam się utwierdzić w przekonaniu, iż Bóg uczynił cud, uzdrawiając naszą córkę. Potem wykonano dziecku zdjęcie rentgenowskie, które potwierdziło ten stan rzeczy. Badanie wykazało, że serce mieści się w granicach normy. Doświadczyliśmy kolejnego cudu, jaki Bóg uczynił dla naszej córki.

Muszę stwierdzić, że siedem lat zmagania z trudnościami, to długi okres dla matki, która wierzy w moc Boga, lecz nie doświadcza jej tak szybko, jakby tego pragnęła. Najważniejsze, że Bóg się nie spóźnił w swoim działaniu, ponieważ uzdrowienie serca w siódmym roku jej życia spowodowało, że mogła chodzić do szkoły muzycznej, w której uczyłam, co dawało jej również pewną ochronę fizyczną. Jej wzrost oraz niska waga wyróżniały ją wśród rówieśników. Była w mojej klasie skrzypiec, dzielnie sobie radziła, kończąc po czterech latach edukację w tej szkole w związku z naszą przeprowadzką do miasteczka oddalonego o 20 km od szkoły muzycznej. W dalszej kolejności przez wiele lat kontynuowała prywatnie naukę gry na fortepianie w nowym miejscu zamieszkania.

Mam kilka refleksji z tego okresu. Bóg przygotował mnie wcześniej na to, co miało mnie spotkać, zanim jeszcze urodziłam to dziecko. Wydawałoby się, że dzięki temu powinnam być wolna od obaw, mam tylko wierzyć. Ale Bóg, mówiąc wtedy do mojego serca, nie odkrył przede mną wszystkiego. Zapewnił mnie jednak o najważniejszym – że to On wytyczył taką drogę dla mnie, bym mogła stać się błogosławieństwem dla innych. Uświadamiałam to sobie wyraźnie i dzięki temu mogłam przetrwać wiele ciężkich chwil. Muszę z przykrością stwierdzić,

że w tych trudnych chwilach wiele bliskich memu sercu ludzi oddaliło się ode mnie lub z rezerwą obserwowało, jak się to wszystko skończy. To dziwne, ale w tym czasie czułam wyraźnie, co ludzie na ten temat myślą i to było najtrudniejsze doświadczenie. Tak bardzo potrzebowałam wtedy wsparcia od innych, współczucia i wspólnej modlitwy. Brakowało mi rodzinnego klimatu, serdecznego podejścia, jakiego oczekiwałam od ludzi, których bardzo kochałam. Czułam się odrzucona – jak Jezus w Getsemane. Moja wola została poddana Bożej woli. To była wspaniała lekcja, która dała mi bardzo wiele. Cieszę się, że pomimo oziębłości, z jaką spotykałam się ze strony bliskich, potrafiłam ich nadal wszystkich kochać. Bóg napełnił moje serce miłością, niezależną od moich uczuć czy samopoczucia.

Czas, który wtedy – jak mógłby ktoś powiedzieć – “straciłam” dla tego dziecka, zaowocował. Dzięki niej mogłam wyjeżdżać, pracować dla Boga, gdyż chętnie pomagała mi w pracach domowych i opiekowała się młodszym bratkiem. Muszę w tym miejscu dodać, że Bóg darował nam po dziesięciu latach jeszcze jedno dziecko – chłopca, który urodził się zdrowy.

Nasza córka wie, jak bardzo Bóg ją umiłował, gdyż od chwili poczęcia aż po dzień dzisiejszy troszczy się o jej życie i zawsze rozwiązuje jej problemy. Bóg obdarzył ją mądrością,



delikatnością, skłonnością do posłuszeństwa, dał jej talent muzyczny, którym służy także w kościele. To wszystko wyzwoliło i wyzwala w niej ogromną wdzięczność dla Boga. Oddała Mu więc swoje serce i całe życie. Chwali Go i czci nie tylko ustami, ale także muzyką.

Dzięki przeżyciom związanym z chorobą naszej córki stałam się bardziej współczująca, szczególnie w stosunku do matek mających chore dzieci. Mam też odwagę modlić się o uzdrowienie chorych, ponieważ sama doznałam mocy Boga i przekonałam się o Jego wierności. Te przeżycia są tak mocno wryte w moje serce, że nic i nikt nie może mi ich zabrać ani wymazać.

Chwała Bogu za to, że Jego drogi są wyższe niż nasze. Kiedy córka miała trzynaście lat, Duch Święty przekazał mi radosną wieść o tym, że Pan obdarzył mnie zaufaniem, darując mi dziecko, bym wychowała je dla Jego chwały. Nasza córka ma na imię Doro-ta, co w języku greckim oznacza “darowana od Boga”. Cieszę się więc, że taka była Jego wola i umacnam się w przekonaniu, że “wierzącemu wszystkie rzeczy dopomagają ku dobremu”.

Bóg uzdrowił serce Aronka

Nasz syn Aron urodził się parę miesięcy temu – 24 lipca 2013 r. Chciałem opowiedzieć o Bożej interwencji w jego życiu i dać świadectwo Bożej mocy, którą widzieliśmy z żoną tak namacalnie, że to przechodzi wszelkie wyobrażenie.

Wszystko zaczęło się w ósmym miesiącu ciąży. Na jednym z USG pani doktor wykryła, że coś jest nie tak z sercem synka. Skierowała więc nas do Rudy Śląskiej na specjalistyczne badania kardiologiczne. Po dość długim badaniu badająca żonę pani doktor stwierdziła, że zastawka w prawej komorze serca jest zablokowana, zrośnięta. Pani doktor stwierdziła to poprzez badanie przepływu krwi w sercu dziecka.

Organizm ludzki funkcjonuje w ten sposób, że prawa komora pompuje krew do płuc, a lewa komora – na cały organizm. W tej sytuacji – powiedziała lekarka – dziecko z wadą taką, jak u naszego synka, gdy się rodzi, umiera od razu, gdyż do płuc nie będzie dochodziła wystarczająca ilość krwi. W życiu płodowym serce dziecka pracuje inaczej niż u takiego, które oddycha powietrzem bezpośrednio. Między aortą a pniem płucnym znajduje się otwór, tzw. przejście Botalla, przez który krew przepływa z lewej komory serca do płuc. Jedynym ratunkiem dla dziecka jest podanie mu do żyły specyfiku o nazwie prostin, który sprawia, że przejście Botalla pozostaje otwarte.

Lekarka opowiedziała nam też o tzw. balonoplastyce. Zabieg polega na tym, że przez tętnicę udową dziecka wprowadzany jest drucik, którym przebijana jest zrośnięta zastawka, udroźniając w ten sposób przepływ krwi. Tak więc musimy zaplanować poród w szpitalu w Rudzie Śląskiej, gdzie istnieje specjalistyczny oddział patologii, gdzie zespół neonatologów zajmie się naszym synkiem zaraz po urodzeniu, poda mu wspomniany wyżej lek i w ogóle zrobi wszystko, co będzie trzeba.

Z takimi informacjami wróciliśmy do domu. Byliśmy tym podłamani, lecz ja czułem, że nasze dziecko musi być uzdrowione. Na tym stanę w wierze, uchwycę się tego i będę się modlił tak długo, aż uzdrowienie nastąpi. W ogóle nie przyjmowałem do wiadomości, że coś będzie nie tak. Kładłem ręce na brzuch żony i wyznawałem Boże uzdrowienie. Wierzyłem głęboko, że syn urodzi się zdrowy.

Zbliżał się dzień porodu. Na 5 dni przed porodem mieliśmy zameldować się w szpitalu w Rudzie Śląskiej. Gdy już byliśmy na miejscu, drugiego dnia przyszedł lekarz, który powiedział, że najlepiej byłoby, gdyby poród odbył się przez cesarskie cięcie. Jednak my nie chcieliśmy takiego porodu, gdyż wiedzieliśmy, że najlepsze dla dziecka jest, gdy urodzi się siłami natury. Modliliśmy się o to, żeby synek mógł urodzić się naturalnie. Rozmawialiśmy na ten temat z lekarzami. Stanęło na tym, że wszystko było przygotowane do operacji cesarskiego cięcia, a na drugi dzień powiedziano żonie, że nie ma przeciwwskazań, żeby rodziła naturalnie, ale poród musi się odbyć do godz. 12.00. W przeciwnym wypadku będzie cesarskie cięcie.

Podano żonie leki przyspieszające skurcze i o godz. 11.45 synek był już na świecie. Od razu przyszło kilku neonatologów, pozwolili mi zrobić synkowi jedno zdjęcie i od razu włożyli go do inkubatora. Syn dostał 10 punktów w skali Apgar, czyli wynik był absolutnie pozytywny. Zresztą synek w zupełności wyglądał na zdrowego. Był duży, ważył sporo, głośno krzyczał. Ale zaraz wzięto go na oddział intensywnej terapii, podłączono do automatycznej strzykawki, która dozowała mu lek, który utrzymywał go przy życiu. Pozwolono mi tam pójść i lekarze powiedzieli mi, że za kilka godzin przyjedzie z Katowic kardiochirurg, aby zbadać synka i zobaczyć, jak jego serduzsko

wygląda po porodzie i co robić dalej. Nadal wierzyłem, że synek jest zdrowy, bo tak też wyglądał. Czekałem, aż przyjdzie kardiolog, zbada go i powie, że stał się cud, że zastawka otworzyła się samoistnie.

Gdy przyjechała pani kardiochirurg, cały czas byłem przy synku. Pozwolono mi na to. Trzymałem go za rączkę, modliłem się, głośkałem po główce. Starałem się umilić mu te pierwsze chwile na świecie, bo zamiast przytulać się do mamusi, musiał leżeć w inkubatorze. Lekarka powiedziała, że jest źle: zastawka nadal jest zrośnięta. Tkanka mięśniowa serca jest bardzo przerośnięta, gdyż krew nie przepływa, jak należy, tzn. nie tą drogą, co normalnie. W związku z tym będzie konieczna operacja na otwartym sercu, aby mogło ono pełnić swoją funkcję.

Wówczas powiedziałem, że wiem od innego lekarza, że istnieje taka metoda jak balonoplastyka, ale lekarka powiedziała, że u synka to raczej niemożliwe, gdyż serce jest bardzo przerośnięte i po zabiegu zrobiłby się z niego wiotki worek, który będzie niewydolny, bo ciśnienie w sercu poważnie się obniży. Poprosiłem wówczas, żeby jednak najpierw spróbować balonoplastyki, a nie od razu przystępować do operacji.

**Tej samej nocy synek
został przewieziony do
szpitala w Katowicach na
oddział intensywnej
terapii noworodka.**

**Następnego dnia też tam
pojechałem. Trochę mnie
załamało to wszystko,
gdyż wierzyłem, że synek
urodzi się zdrowy,
a tymczasem tak się nie
stało. Nawet nie zastanawia-
łem się wtedy, dlaczego.**

Następnego dnia kardiolog z Katowic zgodzili się spróbować przebicia zastawki drogą balonoplastyki. Zabieg ten odbył się wieczorem, o godz. 18.00. To było następnego dnia po urodzeniu się Aronka. Byłem tam również, odprowadziłem synka na operację, pod drzwi, gdzie jeszcze mogłem wejść. Widziałem, jak lekarze znikają z synkiem za drzwiami sali operacyjnej i zostałem sam na pustym korytarzu. Obdzwoiłem całą rodzinę z informacją, że właśnie odbywa się operacja i prosiłem o modlitwę. Jeszcze przed operacją rozmawiałem z lekarką, która prowadziła naszego synka. Powiedziała mi, że bym się nie nastawiał, że skoro będzie zastosowana balonoplastyka, operacja nie będzie konieczna. Na ogół w takich przypadkach dzieje się tak, że 2 tygodnie po przebicciu zastawki trzeba otworzyć klatkę piersiową, żeby zmodyfikować serce.

Przed operacją miałem też rozmowę z anestezyjologiem, który powiedział mi, że muszę podpisać zgodę na zastosowaniu u synka narkozy. Wyjaśnił mi, że w tej sytuacji istnieją trzy opcje: taka, że po uspieniu będzie mógł samodzielnie oddychać, druga, że nie będzie mógł sam oddychać i będzie musiał być podłączony do respiratora albo że organizm dziecka nie wytrzyma dawki narkozy i dziecko umrze. Przyjąłem to do wiadomości i podpisałem zgodę. Synka zabrano na operację. Powiedziano mi, że będzie trwała godzinę.

Chodziłem więc po korytarzu, modliłem się, płakałem. Po godzinie nikt z sali operacyjnej nie wyszedł. Minęło półtorej godziny... Szatan zaczął mi podsuwać negatywne myśli – że coś się stało, że mały już nie żyje. Minęła już godzina i trzy kwadransy. Podjąłem walkę z szatanem i przeciwstawiłem się podsuwającym przez niego myślom. Gdy minęła godzina i 50 minut, i nadal nikt nie wyszedł z sali operacyjnej, zawołałem do Boga: "Boże, dlaczego syn musi przechodzić przez to wszystko, dlaczego musi tak cierpieć, dlaczego nie został uzdrowiony?" Wtedy nagle mnie olśniło, że to moja wina. Gdy jeszcze trwała ciąża, planowałem sobie – nawet mówiłem

o tym Bogu – że gdy synek urodzi się zdrowy, powiem świadectwo w moim zborze, a potem w zborze w Żywcu, jak Bóg wspaniale działa. Jakoś tak podświadomie chciałem wykorzystać tę sytuację do podbudowania swojego „ego”.

Wiadomo, że w dzisiejszych czasach trudno jest o uzdrowienia. A ja chciałem powiedzieć coś w rodzaju: „Widzicie, jak Bóg działa! Trzeba mieć tylko wiarę – ja ją mam”. To byłoby pewnego rodzaju potępienie dla słuchających mojego świadectwa: wy, być może, borykacie się z jakimiś schorzeniami, a mój synek został uzdrowiony, bo miałem mocną wiarę.

Bóg mi pokazał, że synek nie został uzdrowiony, gdyż w moim myśleniu pojawiła się pycha duchowa. Zacząłem Boga przepraszać, płakać i zstąpił na mnie cudowny pokój i radość. Usłyszałem w sercu: „Wszystko będzie dobrze”.

Po dwóch godzinach otwarły się drzwi sali operacyjnej, pojawiła się pani kardiolog i powiedziała: „Chłopak miał szczęście, zabieg przebiegł idealnie, lepiej nie dało się tego zrobić”. Odczekałem jeszcze parę minut, inkubator wyjechał z małym. Oddychał samodzielnie, a więc narkoza mu nie zaszkodziła. Pojechałem z nim jeszcze na VIII piętro, tam, gdzie była jego sala, a następnie poszedłem do mieszkania udostępnionego nam przez miejscowy zbor Wolnych Chrześcijan, aby nie było trzeba jeździć tak daleko z Katowic do domu, gdyż to znaczna odległość. Gdy żona wyszła ze szpitala, mieszkaliśmy razem w tym mieszkaniu.

Następnego dnia po zabiegu pojechałem do szpitala. Na oddziale intensywnej terapii nowo-

rodka obowiązują bardzo rygorystyczne przepisy np. jeśli chodzi o dezynfekcję rąk, odwiedziny. Rodzic może przychodzić tylko raz dziennie i to na 15 minut. Zorientowaliśmy się z żoną, o której godzinie następuje zmiana lekarzy, tak że przychodziłem do syna dwa razy dziennie, bo ten drugi lekarz nie wiedział, że już byłem. Trzymałem synka za rączkę, modliłem się, cytowałem mu psalmy np. Psalm 91, 23 itp.

Lekarka powiedziała mi, że po zabiegu synek był bardzo wycieńczony. To był bardzo brutalny zabieg, mały stracił dużo krwi. Przez następną dobę był na morfinie, żeby nie czuł bólu. W nocy przestał oddychać, więc musieli go podłączyć do respiratora, który za niego oddychał przez dwie doby.

Cały czas chodziłem do synka. Żona wyszła ze szpitala, była odwiedzić synka, lecz gdy zoba-



czyła cztery strzykawki podpięte do żył dziecka, inkubator, jeszcze jakieś urządzenia – i wszystko to piszczało – powiedziała, że nie chce tego wszystkiego więcej widzieć i przyjdzie do synka dopiero wtedy, gdy aparatura będzie odłączona. Tak więc potem już tylko ja go odwiedzałem.

Modliliśmy się o synka i, dzięki Bogu, zmiana na lepsze następowała cały czas. Po dwóch dniach odłączono go od respiratora. Najpierw oddychał respirator i synek, potem już całkiem go odłączono, tylko podano mu do inkubatora podwyższony tlen, aby mu się łatwiej oddychało. Powoli wszystko wracało do normy.

Staralem się jak najwięcej rozmawiać z lekarzami. Dzięki Bogu trafiliśmy na zespół fantastycznych lekarzy. Okazywali zainteresowanie. Potrafili godzinę ze mną rozmawiać, żeby mi wytłumaczyć wszystko, co się dzieje z synkiem. Byli naprawdę bardzo uprzejmi. Cały personel, wszystkie pielęgniarki, lekarze, pełnili swą służbę z powołaniem.

Powoli odstawiali małemu niektóre leki. Oczywiście, prostin, który powodował, że przejście Botalla się nie zamknęło, był cały czas podawany. To był główny lek. Lekarka, z którą rozmawiałem, powiedziała, że daje synkowi 2 tygodnie. Potem musi on przejść kolejną operację, aby usprawnić niewydolną prawą komorę.

Mały zaczął przyjmować mleko matki, które mu zawoziłem w butelkach. Już 2 tygodnie był na OIOM-ie.

Po 11 dniach był już w tak dobrej kondycji, że lekarka powiedziała, że spróbuje mu odjąć prostin, gdyż prawa komora serca zaczęła się uaktywniać. Synek przeżył jeden dzień bez leku, potem drugi...

Po dwóch tygodniach dostałem wypis ze szpitala. Stwierdzono, że dziecko nie dostaje już żadnych leków, nie ma więc potrzeby, żeby dalej tam przebywało.

Gdy ostatni raz przebywałem z lekarzami w szpitalu, lekarka stwierdziła, że nie mieli jeszcze przypadku, żeby mocno zdegenerowana prawa komora serca wróciła tak szybko do normalnego funkcjonowania. Nie była jeszcze w 100% wydajna, ale już potrafiła dostarczyć wystarczającą ilość tlenu do płuc. Lekarka nazwała to niesamowitym sukcesem kardiologicznym, ale ja wiedziałem, że to Bóg zainterweniował i pomógł serduszkowi Aronka.

Po miesiącu, gdy byliśmy z Aronkiem na kontrolnej wizycie, ta sama lekarka powiedziała: „Gdybym nie wiedziała po jakich ciężkich przeżyciach jest to dziecko, nie zauważyłabym nawet, że coś było nie tak z jego sercem. W tej chwili serce dziecka wygląda jak serce zdrowego dziecka”.

Dzięki Bogu, że On uzdrowił synka całkowicie. Tak, Jezus dokonał już wszystkich uzdrowień, nam tylko pozostaje to przyjąć i uwierzyć. Oczywiście, bywają też przeszkody. W moim przypadku to była pycha. Szatan też może nam przeszkadzać w przyjęciu uzdrowienia. Ale gdy uzdrowienie nie następuje, wina nigdy nie leży po stronie Boga, zawsze po naszej stronie lub po stronie szatana.

Dzięki Bogu, że chociaż przeszkadzałem swoją pychą, Bóg wyprowadził naszego synka na prostą. Aronek ma już 3 miesiące, waży 7 kg, bardzo szybko rośnie, pije dużo mleka. Jest zdrowy. Chcę oddać chwałę Bogu za to. Bez Jego pomocy synek powinien leżeć 6 tygodni w szpitalu. Lekarka nazwała nasz przypadek niesamowitym sukcesem kardiologii, ale my wiemy, że powodem tego sukcesu było Boże działanie. Chwała Mu za to!



Jak Bóg zlitował się nad nami

Oboje z mężem pochodzimy z rodzin wierzących ewangelicznie, nasi rodzice byli ludźmi nawróconymi jeszcze przed naszymi urodzinami. A więc wzrastaliśmy w atmosferze Słowa Bożego i modlitwy. Gdy dorosiliśmy, świadomie przyjęliśmy chrzest wodny, poruczając swoje życie Bogu. Wkrótce pobraliśmy się i jako małżeństwo układaliśmy życie po swojemu. Oczywiście, chodziliśmy na nabożeństwa, niby nic się nie zmieniło, a jednak nasz wzrok padał na świat i zaczął nas wabić tym, czego nie znaliśmy, żyjąc przy rodzicach.

Pobraliśmy się w 1966 roku. Po roku urodziła nam się pierwsza córka, Elżbieta, a rok później – Renata. Po pięciu latach małżeństwa dostaliśmy mieszkanie w Polkowicach. Mąż pracował w kopalni jako sztygar zmianowy. Zaczęło nam się dobrze powodzić, ale jednocześnie robiliśmy się „duchowo letni”. Gdy młodsza córka miała 3 latka, pierwszy raz w życiu wyjechaliśmy na wczasy. I nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie nasze wewnętrzne nastawienie na „trochę luzu”, z dała od dyscypliny zborowej, od środowiska wierzących. Chcieliśmy pobyc wśród innych ludzi i na chwilę stać się podobnymi do nich.

Już pierwszego dnia zauważyłam, że nasza młodsza córka idąc, dziwnie zarzuca prawą nóżką. Zwróciłam jej uwagę, a gdy dalej tak szła, nakrzyczałam na nią, żeby się nie wygłupiała. Na stołówce zwróciłam jej uwagę, patrząc, jak niezdarnie miesza w talerzu i dopiero po kilku uwagach córka przełożyła łyżkę do lewej rączki i próbowała jeść. Wtedy z niepokojem zauważyłam, że dzieje się coś niedobrego. Włożyłam jej ciasteczko do rączki i poprosiłam, żeby włożyła je do moich ust. Próbowwała bezskutecznie – trafiała w brodę, nos i nie mogła skoordynować swoich ruchów. Wiedzieliśmy już, że dzieje się coś złego.

Pojechałam z nią do Świebodzina, do lekarza ortopedy, który stwierdził, że ze strony ortopedycznej wszystko jest w porządku, ale polecił nam udać się do neurologa. Nie znając tamtejszych lekarzy, wróciliśmy po kilku dniach do domu. Tu, w Polkowicach, poszłam do pediatry. Lekarka orzekła, że podejrzewa płasawicę (reumatyzm mózgu) i skierowała nas na konsultację do szpitala. Będąc młodą matką, niedoświadczoną, ucieszyłam się, że lekarka zdiagnozowała chorobę, miałam bowiem nadzieję, że córka otrzyma właściwe leki

i wszystko wróci do normy. Nie zdawałam sobie sprawy z powagi choroby.

W szpitalu, po rozmaitych badaniach, ordynator powiedział mi, że muszę być dzielna i przyjąć do wiadomości, że jest to choroba nieuleczalna, prowadząca do śmierci. W mózgu córeczki doszło do poważnych zmian. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba.

Lekarz proponował, abyśmy zostawili małą w szpitalu. Obiecywał, że spróbuje zrobić, co w jego mocy, aby zatrzymać chorobę, ale nas to nie pocieszało, gdyż choroba postępowała bardzo szybko. Córkę musieliśmy już nosić, bo nóżki się jej plątały. Całe ciało podrygiwało, zauważyliśmy skurcze buzi. Postanowiliśmy zabrać dziecko do domu.

Rodzina była zrozpaczona. Moja mama była bogobojną kobietą, która wiele przeżyła w swoim wdowim życiu, wychowując pięcioro dzieci. Przeżyła wiele trudnych doświadczeń i wiele pomocy od Pana i tu Pan Bóg włożył w jej usta słowa: „Dzieci, to powiedział lekarz – człowiek, a my jesteśmy w rękach Bożych, nasze życie jest w Jego dłoni, więc wy zwróćcie uwagę na swoje życie, czy jest ono w porządku przed Bogiem, czy aby to nie jest Boży głos do was?”

Otworzyły się nam oczy duchowe. Wiedzieliśmy, jaki jest nasz stan duchowy. Musieliśmy przyznać, że grzech wszedł w nasze życie, że nie jesteśmy w porządku wobec Boga. Pan w swoim miłosierdziu okazał nam łaskę, dał nam możliwość, abyśmy się mogli ukorzyć, wyznać nasze grzechy, pokutować i wołaliśmy do Boga o przebaczenie i o zmiłowanie nad naszym dzieckiem.


Bóg jest wierny swojemu Słowu, które mówi: *kto wyznaje i porzuca, doznaje miłosierdzia i nad nami Bóg okazał miłosierdzie*. Doznaliśmy przebaczenia i oczyszczenia. Zostaliśmy wypełnieni radością i nadzieją. Boży pokój wypełnił nasze wnętrza. Nasze życie zupełnie się zmieniło.

Bóg wysłuchał naszych modlitw i mogliśmy oglądać Jego miłość i zmiłowanie, gdyż choroba tak jak stopniowo wchodziła w życie naszej córeczki, tak stopniowo się wycofywała. W ciągu sześciu tygodni wycofała się zupełnie.

Robiliśmy kontrolne badanie i zdjęcie RTG głowy, i okazało się, że wyniki są dobre. Lekarz z niedowierzaniem powiedział: „No cóż, zdarzają się cuda w medycynie”, a mój stan duchowy był tak kiepski, że nie miałam odwagi powiedzieć, że to Pan Jezus uzdrowił nasze dziecko, okazując swoje miłosierdzie.

Lekarz przestrzegał nas, że ta choroba ma swoje kaprysy i może zaatakować nawet po pięciu latach. Jednak to, co Bóg uczynił, jest trwale i doskonałe. Córcia dobrze się rozwijała umysłowo. Ukończyła szkołę podstawową z wyróżnieniem. Ukończyła liceum medyczne. Pracuje w szpitalu, wyszła za mąż. Renatka jest matką dwóch dorodnych, dorosłych już synów, z których jeden studiuje, a drugi ożenił się i ma dwumiesięczną córeczkę. A więc jest już babcią.

Bóg nas zmienił. Piszę to po to, aby cała chwała została oddana mojemu Panu i Zbawicielowi, który jest miłosierny i prowadzi nas swoją drogą, na której może okazywać nam wszelką pomoc i łaskę potrzebną każdego dnia.



Sprowadź go do domu!

Spotkaliśmy się z Jimem w 1966 roku. On miał 25 lat, ja – 18. Stanowiliśmy dobraną parę – oboje lubiliśmy zaszaleć. Kiedy się poznaliśmy, Jim miał już za sobą siedmioletni pobyt w więzieniu, ale musiał jeszcze odsiedzieć 2 lata, więc po sześciu miesiącach znajomości pobraliśmy się w więzieniu. Niedługo potem urodził się nasz syn. Kilka miesięcy później stał się cud – narodziłam się na nowo. Byłam sama z dzieckiem przez blisko dwa lata, a po powrocie Jima, nie trwało długo i znowu wrócił do przestępczego trybu życia.

Co chwila nas opuszczał. Nigdy nie wiedziałam, kiedy wróci i kiedy znowu zniknie. Nie miałam nikogo oprócz Boga, do kogo mogłabym zwrócić się o pomoc. Nikt nie wiedział, gdzie jest mój mąż. Czasami w sercu czułam ogromny żal. Nie mogłam opanować swoich emocji i popadałam w szaleństwo, biegając i krzycząc wokoło w poszukiwaniu swojego męża. Czasami nawet przeklinałam Boga za to, że mam takie okropne życie i robiłam to tak długo aż w końcu padałam z wyczerpania i przepraszałam Go za słowa, które wypowiedziałam w gniewie i żalu. Zdarzało mi się to wiele razy aż w końcu pewnego dnia postanowiłam, że poddam swoje życie zupełnie Bogu i Jego woli. Zaczęłam wierzyć, że Bóg ma wszystko pod kontrolą.

Początkowo myślałam o rozwodzie. Czy nie to powinna zrobić kobieta, którą mąż stale pozostawia samą sobie?

A jednak on co jakiś czas wracał i przepraszał.

Nagle, po pięciu- sześciu miesiącach, pojawiał się u moich drzwi, a wyglądał przy tym jak szaleniec. Ale pod warstwą brudu i spalonej słońcem twarzy nadal należał do mnie.

Wprowadzałam go do domu, dawałam obiad i starałam się spokojnie z nim rozmawiać. Potem nalewałam wody do wanny, przygotowywałam czyste ubrania i moje serce wypełnione współczuciem akceptowało go jako męża, który powrócił. Miałam przekonanie, że jestem w lepszej sytuacji, bo ja znałam Jezusa, a on nie. Chodziłam wokół niego na paluszkach, nie pytałam

o nic i nie interesowało mnie, co zrobił, najważniejsze było to, że wrócił. Nadal był moim mężem – niewiernym, zdegenerowanym, okropnym, ale nadal moim. Wybaczałam mu wszystko, okazywałam bezwarunkową miłość i nie stawiałam żadnych warunków.

Trwało to jakiś czas, aż w końcu któregoś dnia znów postawiłam obiad na stole, a on nie wrócił o tej porze, co powinien. Chodziłam od okna do okna, nasłuchując, czy podjeżdża samochód. Rósł we mnie okropny strach przed tym, że znowu mnie zostawił. Takie sytuacje powtarzały się około 30 razy w ciągu dwunastu lat naszego małżeństwa. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zniknął, nie wiadomo gdzie. Dzieci ciągle pytały: „Gdzie jest tatuś?”, a ja im tłumaczyłam, że tatuś jest chory, ale Pan Jezus na pewno go uzdrowi. Uczylałam je, aby modliły się słowami: „Panie Jezu, sprowadź tatusia do domu. Dziękuję, że to zrobisz”.

Kiedy zmarła jego matka, nikt nie mógł go znaleźć, żeby powiadomić o jej pogrzebie. Wolałam do Boga dniem i nocą, i wydawało się, że to wszystko na darmo. Lata upływały, a tym zachowaniom nie było końca. Czułam się jak osierocone dziecko. Byłam wykończona i nie miałam już sił, a wtedy on popełnił kolejne przestępstwo i poszedł do więzienia na następne cztery lata.

Naprawdę go kochałam. Miałam wrażenie, że jest opanowany przez demony, ale przecież nadal był moim mężem. Czasami czułam do niego nienawiść, ale podobnie jak wtedy, gdy boli cię jakaś część ciała, nie pozbywasz się jej, tak samo ja nie mogłam się go pozbyć. Nienawidziłam tych chwil, gdy mnie opuszczał, ale byłam jego żoną na dobre i na złe. Miałam przekonanie, że cudzołóstwo to najgorszy z grzechów i zanim wyszłam za mąż, prosiłam Boga, aby zachował mnie w czystości, abym nigdy, nawet we śnie, nie pragnęła innego mężczyzny, jak tylko swojego męża.

Wiele razy rano po przebudzeniu pytałam Boga: „Panie, dlaczego dałeś mi kolejny dzień

do przeżycia?” Świat malował mi się w czarnych barwach, ale Jezus zawsze wlewał nadzieję i życie w moją umęczoną duszę. Pewnego dnia w ponadnaturalny sposób Bóg zabrał mój ciężar. Zapomniałam, że Jim mnie zostawił, czułam się taka lekka i szczęśliwa, że musiałam sobie nawet zapisać na kartce, że mam się o niego modlić.

Codziennie Pan mówił do mnie: „Connie, wstań z łóżka, podnieś głowę wysoko i ufaj swojemu Bogu. Twój problem nie jest większy niż twój Pan. Nie zachowuj się tak, jakby Jim miał nigdy nie wrócić, przeciwnie, zachowuj się tak, jakby dziś miał wydarzyć się cud”. Co wieczór, gdy mojego męża nie było w domu, stawiałam talerz na stole w miejscu, gdzie zazwyczaj siadał i miałam dla niego przygotowaną kolację. Nie pozwalałam dzieciom zajmować tego miejsca i komentować tego, co robię. Prowadziłam dom tak, jakby on był z nami.

Przetrwiałam tylko dzięki temu, że żyłam Słowem Bożym. Wzywałam Imienia Jezus przez cały dzień, a On szedł ze mną przez ciemną dolinę i prowadził mnie swoją ścieżką.

Wszystkie rozmowy telefoniczne z więzienia są cenzurowane, ale ja się tym nie przejmowałam i wypowiadałam słowa wiary, mówiąc: „Zobaczymy się już niedługo, kochanie”. Strażnicy myśleli, że planujemy jakąś ucieczkę, ponieważ Jim dostał dziesięcioletni wyrok.

Ludzie śmiali się ze mnie i mówili, że on już zawsze taki będzie i że jak tylko wyjdzie z więzienia, niedługo znowu tam wróci. Strażnicy mówili, że Jim jest przypadkiem beznadziejnym, którego nie da się resocjalizować. Może i był beznadziejny, ale był moim mężem. Wiedziałam, że zawiodłabym Boga, gdybym nie chciała wybaczyć mężowi.

Miałam też pragnienie, by w przyszłości usługiwać młodszym kobietom i wiedziałam, że jeśli się rozwiodę, nie będę mogła prowadzić takiej posługi.

Pan zachęcał mnie, abym mówiła do gór problemów w moim życiu i nie poddawała się zwątpieniu. Tą największą „góram” był w moim życiu Jim. Wyznawałam w modlitwie, że wróci do nas, że wróci do domu. Z całych swoich sił wołałam do Boga, aby go zbawił. Nieustannie modliłam się i poświęcałam w tej sprawie.

Jim został uzdrowiony w 1979 roku. Trzy miesiące po tym, jak wrócił do domu po czteroletniej odsiadce, poprosił mnie, abyśmy zdecydowali się na kolejne, czwarte, dziecko. Bardzo się bałam. Odmówiłam, ale kiedy odeszłam na osobność, odczułam, że Pan mówi do mnie: „Connie, przez wiarę doszłaś do tego miejsca. Nie podawaj się teraz”. Po wielu zmaganiach poddałam się Bogu i zgodziłam się na kolejne dziecko. Kiedy Jim zobaczył, że nadal mu ufam, że go nie przekreślam jako człowieka, coś w nim pękło. Strach, jaki widziałam w jego oczach, nagle się ulotnił, podniósł swe ręce do Ojca w niebie i przyjął Jego pokój dla swego niestabilnego i umęczonego umysłu. Powoli coraz bardziej poddawał się Chrystusowi. Zajął się płaceniem rachunków i systematyczną pracą.

Pan uczynił o wiele więcej niż to, o czym marzyłam. Dał mi niewysłowioną radość. Nieprzyjaciel nacierał jak powódź, lecz Pan go powstrzymał. Wszelkie zamierzenia nieprzyjaciela obróciły się we wspaniałe świadectwo Bożego zwycięstwa.

Pan dał nam kolejne dzieci. Urodziłam Dawida w 1980 roku, Dana w 1982 i Mary w 1985. Mamy zatem sześcioro dzieci. Wszystkie wychowywane były w Bożym duchu, uczono szacunku wobec swojego taty. Uczyłam je, by witały go serdecznie, gdy wracał z pracy i proponowały mu kawę. Kiedy koledzy pytali Jima, czemu po pracy nie chce chodzić z nimi na piwo, powiedział im, że ma w domu żonę

i dzieci, z którymi chce spędzać czas. Jeden kolega śmiał się z niego: „Chłopie, lecisz do żony i do domu? Coś z tobą nie tak!”

Teraz kiedy siedzę i rozmyślam o Jimie, nie mogę wyjść z podziwu, jak bardzo się zmienił. Jest w domu od dwudziestu lat! Kim jest ten Jezus, któremu służymy? Na pewno jest Synem Żywego Boga, Boga, który słyszał mój płacz, gdy czułam się opuszczona i sprawił, że Jim został uzdrowiony. Jim jest dla mnie chodzącym cudem, który przypomina, że dla Boga wszystko jest możliwe. Teraz wiem, że jeśli się nie poddamy, będziemy oglądać chwałę Bożą.

Księga Przypowieści Salomona 31,11 mówi o pewnej żonie: *Serce jej małżonka ufa jej.* Kobieta musi zdobyć zaufanie swojego męża. Uzdrowienie następuje wtedy, gdy mężczyzna czuje, że może oddać swoje serce Bogu, a także swojej żonie. Kiedy Jim został uzdrowiony, przeszedł proces od zupełnego porzucenia mnie do przejęcia pełnej troski i opieki nade mną. Stał na wysokości zadania, jako mężczyzna i głowa domu. Nie pragnę niczego więcej. Nie zawsze się z nim zgadzam i szczerze mu o tym mówię, ale w ostatecznym rozliczeniu jego zdanie jest finalne. Chcę być jak Estera, a nie jak królowa Waszti.

Drogie żony i matki, nie poddawajcie się w walce o swoich mężów. Bóg widzi wasze zmagania. On was nie opuści ani nie pozostawi. Wiem o tym. Byłam po tej samej stronie, co wy.

Cudowne pomnożenie

Czy byliście kiedyś w sytuacji, gdy wydawało się wam, że nie ma już nadziei, aby uległa ona poprawie, a tym bardziej, aby wynikło z niej coś dobrego?

Tak było w naszym życiu w 2005 roku. Byliśmy małżeństwem od kilku lat i właśnie dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży. Razem z mężem, Mattem, byliśmy tak szczęśliwi z tego powodu, że od razu powiadomiliśmy o tym całą rodzinę. Jednakże po ośmiu tygodniach znaleźliśmy się w rozpacz, oplakując utratę naszego nienarodzonego dziecka.

Po kilku miesiącach znowu byłam w ciąży. Tym razem nikomu nic nie powiedzieliśmy. Kiedy w końcu dotrwaliliśmy z tym sekretem do końca pierwszego trymestru, z radością powiadomiliśmy rodzinę i przyjaciół. W 21. tygodniu ciąży poddałam się badaniu USG, które potwierdziło, że dziecko jest zdrowe i silne.

Po tygodniu odeszły mi wody. Przerażona zadzwoniłam do męża, który jest strażakiem i był akurat na służbie. Spotkaliśmy się w gabinecie lekarskim, gdzie usłyszeliśmy okropną wiadomość, że tej ciąży nie da się już uratować. Nasze dziecko jeszcze żyło, ale nie miało żadnych szans na przetrwanie. Odmówiliśmy wymuszenia porodu, ale za tydzień nie mieliśmy już wyjścia i zgłosiliśmy się do szpitala.

Z wielkim ciężarem w sercach udaliśmy się do szpitala w towarzystwie naszych mam. Lekarze poinformowali nas, że serce dziecka przestało już bić jakiś czas temu, więc ponieważ muszę urodzić martwe dziecko, nie będzie żadnej szczególnej opieki ani sprzętu przy porodzie. Męczyłam się ze skurczami porodowymi cały dzień tylko po to, by urodzić dziecko, które zamiast radości i szczęścia, wniosło ból i łzy.

Gdy nasza córeczka w końcu przyszła na świat, podano mi ją do rąk. Pomimo ogromnego smutku i żalu, patrząc na nią, nie mogłam uwierzyć, że jest tak doskonale ukształtowana. Chciałabym, aby każdy, kto rozważa decyzję o aborcji, mógł zobaczyć, jak rozwinięte jest dziecko w 23. tygodniu ciąży. Miała doskonale rozwinięte rączki i nóżki, widziałam też w niej podobieństwo do mojego męża.



Kolejne miesiące to najtrudniejsze dni w moim życiu. Miałam nieraz wrażenie, że unoszę się w powietrzu, chodziłam jak we mgle, nie umiałam sobie znaleźć miejsca ani sensu w życiu. Razem z Mattem szukaliśmy porady u specjalistów, którzy starali się zrozumieć, dlaczego nie byłam w stanie donosić ciąży i dlaczego wody mi odeszły. Nasze pytania pozostawały bez odpowiedzi, a nawet z sugestią, że raczej nie będę w stanie zajść w ciążę. Uważano, że nawet jeśli nam się uda, to i tak nie donoszę ciąży do końca.

Razem z mężem zawsze marzyliśmy o dzieciach i przygotowywaliśmy się do roli rodziców. A teraz powiedziano nam, że nigdy nimi nie zostaniemy! Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam i nie potrafiłam sobie wyobrazić, na czym miałyby polegać nasze życie. Byłam zła na swoje ciało, że tak mnie zawiodło. Zazdrościłam też innym rodzinom, które bez problemu sprowadzały na świat kolejne dzieci. Czułam się zupełnie bezużyteczna.

W kilka miesięcy po utracie naszej córeczki, zadzwoniłam do znajomej, która adoptowała dziecko i zapytałam ją, jak to zrobić. Po powrocie do domu czekał na mnie email, w którym dokładnie opisała mi, jakie są sposoby adopcji i formalności do załatwienia. Dała mi też namiary na chrześcijańską agencję, która zajmuje się przeprowadzaniem adopcji. Oboje z mężem odczuwaliśmy spore zdenerwowanie na samą myśl o tym sposobie na rodzicielstwo. Było w tym tyle niewiadomych, nie wiedzieliśmy, czego się w ogóle spodziewać. Widzieliśmy jednak, że bardzo chcemy zostać rodzicami, więc postanowiliśmy

zrobić krok wiary, wierząc, że Bóg otworzy przed nami drzwi.

Wspaniała kobieta, która prowadzi agencję, powiedziała nam, że nie ma wielkich opłat za adopcję, ale nie ma też żadnej gwarancji, że to akurat my zostaniemy wybrani na rodziców. Uświadomiła nam też, że po drodze może się jeszcze wiele wydarzyć, a my, mimo wszystko, zdecydowaliśmy się wypełnić formularze.

Po dziewięciu miesiącach dowiedzieliśmy się, że młoda dziewczyna, która była w siódmym miesiącu ciąży, zainteresowała się naszymi dokumentami i chce się z nami spotkać, aby nas bliżej poznać. Byłam potwornie zdenerwowana. Jakże się cieszyliśmy, gdy po rozmowie postanowiła, że odda nam swoje dziecko!

Przez następne dwa miesiące chodziłam z nią na wszystkie badania. Spotykałyśmy się, aby się bliżej poznać. W dniu, gdy dziecko się rodziło, byliśmy z Mattem w szpitalu i nie mogliśmy uwierzyć, widząc ten cudowny dar, który został nam powierzony. Nasz syn, Joseph, ukończy w tym roku 6 lat. Uczę



go w domu, jest wspaniałą dzieckiem o złym sercu.

Kiedy miał roczek, jego pełna adopcja została sfinalizowana w sądzie. W tamtym okresie przeszliśmy też specjalne szkolenie dla rodziców zastępczych, bo chcieliśmy w przyszłości pomagać dzieciom, które będą czekały na pełną adopcję. Nasze marzenia spełniły się już po niedługim czasie, gdy dotarły do nas informacje o czteromiesięcznej dziewczynce. Okazało się, że była już w jakiejś rodzinie, a jej opiekunowie są wspaniałymi chrześcijanami. Jej mama została moją przyjaciółką.

W dniu urodzin Matta, w 2008 roku, przywieźliśmy małą Grace do naszego domu. Grace ma teraz prawie 5 lat i jest cudownym dzieckiem.

Po dwóch latach otrzymaliśmy kolejną informację z agencji, że pewna dziewczyna szuka domu dla swojego nienarodzonego jeszcze dziecka. Kiedy spotkałam się z nią, zapytała, czy troje dzieci to nie byłoby dla mnie za dużo. Zapewniłam ją, że oboje z mężem marzymy o dużej rodzinie. Po kilku miesiącach znowu byliśmy razem w szpitalu i tym razem mieliśmy przywilej uczestniczenia w porodzie naszego syna. Tucker ma teraz 2,5 roku i jest uroczym, stale uśmiechniętym chłopcem, zakochanym w lokomotywach.

Mniej więcej w czasie, gdy miał się urodzić Tucker, dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Minęło już tyle lat... Przekonana, że zapewne zakończy się to tak samo, jak poprzednimi razy, nikomu o tym nie mówiłam. Staraliśmy się też przygotować na kolejne przykre doświadczenie.

W 16. tygodniu ciąży lekarz zasugerował założenie szwu wokół szyjki macicy, co miało zapobiec utracie ciąży. Kiedy siedzieliśmy w poczekalni z dwójką małych dzieci (w wieku 3 i pół oraz 2 lat) oraz niemowlęciem na rękach, lekarz powiedział, że powinnam

leżeć i niczego nie podnosić, jeśli chcę szczęśliwie donosić ciążę. Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu, bo to było po prostu nierealne!

Wzięliśmy jednak tę radę do serca i z pomocą rodziny udało mi się sporo odpoczywać i zajmować jedynie lżejszymi pracami w domu.

Każdego dnia żyłam w świadomości, że ta ciąża niekoniecznie musi się dobrze zakończyć. Największym darem było dla mnie odczuwanie ruchów mojego dziecka. Szczególnie w nocy lubiłam patrzeć, jak mój brzuch się porusza. To moje najpiękniejsze wspomnienia z okresu, gdy byłam w ciąży.

W połowie 36. tygodnia znowu odeszły mi wody. Sawyer miał tylko niecałe 2 kg, kiedy się urodził, ale dzisiaj jest najcięższym i największym z dzieci. Niesamowite jest też to, że Tucker i Sawyer urodzili się w odstępie 6 miesięcy co do dnia.

**Siedem lat temu
powiedziano mi, że nigdy nie
będę miała dzieci. Siedem lat
temu, życie wymknęło mi się
spod kontroli. Dzisiaj mamy
razem z Mattem ręce pełne
roboty i czworo dzieci
w wieku poniżej 6 lat.**

Wystarczy, że wyjdziemy z nimi na spacer, a wszyscy pytają, jak to możliwe, że mamy tyle małych dzieci w tak zbliżonym wieku. Za każdym razem mamy możliwość podzielenia się świadectwem, jak Bóg cudownie pobłogosławił nas i dał cztery wspaniałe cuda, które pokazują, jak niesamowita może być adopcja.

Samotność w czasie

Wiele osób wyjeżdża z domu w czasie Świąt Bożego Narodzenia. Nawet Józef, Maria, pasterze, czy mędrcy byli wtedy poza domem. Kilka ła temu znalazłam się w podobnej sytuacji. Byłam tuż po rozwodzie i przeniosłam się do nieznanego mi miasteczka, w którym nie znał mnie nikt poza moim psem. Nie wiedziałam, gdzie się co znajduje i całkiem przypadkowo zauważyłam, że kilka przecznic od mojego nowego domu znajduje się budynek kościelny.

Znalazłam w sobie na tyle odwagi, by w Wigilię Bożego Narodzenia wsiąść w samochód i pojechać do tego kościoła. Stali bywalcy podali mi rękę na przywitanie i uprzejmie zapytali, co mnie sprowadza do miasta. Jedna z rodzin zaprosiła mnie nawet, abym usiadła obok nich podczas nabożeństwa. To sprawiło, że poczułam się jak u siebie.

Po zakończeniu spotkania podziękowałam wszystkim za miłe przyjęcie i życzyłam im radosnych i błogosławionych świąt. Kiedy zmierzałam w kierunku wyjścia, matka rodziny, obok której siedziałam, podbiegła do mnie i zaprosiła na wigilijną kolację, a jeśli nie mam innych planów, to również na obiad świąteczny następnego dnia.

Początkowo spieszyła mnie ta propozycja i powiedziałam, że nie chcę im przeszkadzać w rodzinnych planach, ale ona mocno nalegała, przekonując, że moja obecność będzie naprawdę mile widziana. Na dodatek cała, duża rodzina się zbiegła i wszyscy potakiwali głowami. Tak więc nie pozostało mi nic innego, jak wyrazić zgodę. Pojechałam za nimi swoim sa-

Świąt Bożego Narodzenia

mochodem i zjadłam z nimi kolację. Spędziliśmy ten czas na rozmowach i grach. Czułam się jak w domu. Następnego dnia spędziłam u nich całe popołudnie i znowu było mi tak miło, jakbym była u siebie.

To było tylko zwykłe zaproszenie, ale zaproszenie, którego nigdy nie zapomnę! Od tamtego czasu razem z przyjaciółmi organizujemy w czasie świąt spotkania dla osób samotnych i takich, które mają swoich najbliższych zbyt daleko, by spędzać z nimi Boże Narodzenie. Wspaniale spędzamy czas i stajemy się dla siebie rodziną. Gdyby nie ten pomysł, to każdy z nas spędzałby święta samotnie. W zeszłym roku w moim domu zebrało się 40 osób! Był to czas radości, śmiechu, zabawy. Każdy przyniósł drobny upominek. Czy możecie sobie wyobrazić wymianę prezentów między osobami w wieku 2-74 lat?

Każda minuta tego spotkania była dla mnie cudowna i cenna i mam nadzieję, że pozostali mają takie samo zdanie na ten temat. Zależało mi na tym, by czuli się, jak w domu.

Czy wy, jako rodzina, możecie pomyśleć o osobach, które może nie mają gdzie spędzić tego szczególnego czasu? Zbliża się okres świąt, pomyślcie, zadzwońcie, zaproszcie je do swojego domu. Pomagajcie waszym braciom, gdy znajdą się w potrzebie, bądźcie gościnni dla tych, którzy do was przyjdą (Rz 12,13).

Moje świadcetwo

Od zawsze szukałam Boga i wymyślałam przeróżne sposoby, żeby tylko być blisko Stwórcy. I po co? Bóg jest zawsze blisko, to ja byłam daleko od Niego. Skończyłam wiele szkoleń, przeczytałam masę książek. Dotarłam do tarota, jogi, odmiennych stanów świadomości, tylko ciągle nie czułam Boga. W końcu w październiku 2012 dotarłam do Niego i pojęłam, że czary-mary mają się nijak do Jezusa, Jego boskości, doskonałości i wielkości.

Zapewnienia, że siłę mamy w sobie jest bzdurą – nie można pokonać żadnej poważnej życiowej przeszkody bez Boga i Jego Syna. To tak jakby ktoś twierdził, że można jeździć samochodem bez prawa jazdy. No, oczywiście, można, tylko jakie mogą być tego konsekwencje? Dokładnie tak samo jest z Bogiem. To w Biblii zapisana jest cała mądrość pozwalająca przetrwać wszystko, co nas spotyka.

Moi dziadkowie byli ludźmi bogobojnymi i wierzącymi, niestety, moi rodzice są niezwykle daleko od Boga, całe ich życie jest zaprzeczeniem Bożej miłości i łaski. Ubolewam nad tym, ale modłę się za ich dusze i głęboko wierzę, że kiedyś się nawrócą.

Był czerwiec 2007. Byłam w 4. miesiącu ciąży i zostałam poddana badaniom genetycznym – mój wiek dawał mi do nich prawo. Badania wykazały możliwość wystąpienia u mojego dziecka choroby

genetycznej. Nawet przez chwilę nie myślałam o usunięciu ciąży, nawet przez sekundę nie miałam wątpliwości, że chcę mojego dziecka tak samo jak przed badaniami. To właśnie wtedy pokochałam mojego syna jeszcze bardziej i dostałam od Boga zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

Mój lekarz ginekolog skierował mnie do genetyka, który powiedział, że można dalej badać płód, ale wiąże się to z zagrożeniem dla dziecka. Nie chciałam niczego badać, wiedziałam, że to jest moje dziecko otrzymane od Boga i chcę je takim, jakie jest i będę je kochać takim, jakie jest.

Przemek urodził się zdrowy. To później okazało się, że ma guza mózgu. Najbardziej zaczęłam doświadczać Boga od choroby mo-



jego syna, czyli od lutego 2010. Do tego czasu żyłam w pewności, że moje życie należy do mnie i sama jestem malarzem swoich dni. Jednak Bóg pokazał mi, że pędzel malujący moje dni należy do Niego. Nagle z osoby pewnej siebie, pracującej zawodowo, szefowej, mądrej ziemską mądrością, stałam się pełną pokory córką Boga. Mój syn umierał, jego życie było w rękach Boga, nie moich, nie lekarzy. Pierwszy moment obecności Bożej był w momencie przywrócenia akcji serca, kolejne dni aż po dzisiejszy dzień to jedno wielkie działanie Boga.

**Synek urodził się
27 listopada 2007
jako zdrowy i normalnie
rozwijający się dzieciak.
Niespodziewanie
początkiem lutego 2010
zdiagnozowano u niego
guza mózgu umieszczonego
przy pniu mózgu
i olbrzymie wodogłowie.
W niedzielę w nocy,
7 lutego, został poddany
niezwykle ryzykownej
operacji w Centrum
Zdrowia Matki Polki
w Łodzi.**



Operowany był przez neurochirurga mającego wtedy dyżur – później okazało się, że niezwykle cenionego i dobrego lekarza. Jego koledzy po przyjeździe w poniedziałek do pracy zgodnie stwierdzili, że żaden z nich nie podjąłby się tak ryzykownej operacji, a doktor odpowiedział: „Ratowałem życie”. Taki do dzisiaj jest doktor Szymański, to on jako człowiek dawał mi najwięcej nadziei, inni lekarze nie dawali szans na cokolwiek.

Przemek operowany był z zapaleniem płuc. Usytuowanie guza spowodowało ustanie akcji serca, oddechu i duże krwawienie. Był kilka dni w śpiączce farmakologicznej, oddech powrócił dopiero po 2 tygodniach. Jednak zapalenie płuc rozwinęło się na tyle, że potrzebne było dwukrotne wyciąganie wody z opłucnej. Ze szpitala wyszliśmy 21 kwietnia. Wychodząc synek miał niedowład czterokończynowy, zespół opuszkowy, karmiony był poprzez zakładanie sondy. Nagle z księgowej siedzącej za biurkiem, pełnej racji we wszystkim, co robiłam, stałam się dla mojego syna pielęgniarką. Każde założenie sondy wiązało się z wielkim niebezpieczeństwem dotarcia do płuc, nie do żołądka.

To był olbrzymi stres. Niezwykle kocham mojego syna i tak bardzo się bałam..., ale i tutaj Bóg mnie nie zawiódł – zawsze przy zakładaniu sondy był ze mną, a Przemek po



powrocie do domu bardzo szybko zaczął się regenerować i uczyć łykać pokarm. Na początku była cała seria zapaleń płuc od zakrzepienia się śliną i jedzeniem, ale po pewnym czasie wszystko się unormowało i dzisiaj jest tak jak było przed chorobą.

Cudowni lekarze, będący wykonawcami w rękach Boga, pomogli mi skontaktować się z łódzkim hospicjum i podpisać umowę na objęcie Przemka specjalistyczną opieką. Na początku przeżyłam szok – mój syn pod opieką hospicjum? – ale dawałam się prowadzić Bogu i dzisiaj wiem, że była to właściwa decyzja. Obecnie mój syn ma wodogłowie, założoną zastawkę komorowo-otrzewną, nie dowidzi na jedno oko, nie słyszy na ucho, ma zeza. Jego stan intelektualno-ruchowy poprawia się i ma on dużą szansę na powrót do

normalnego życia sprzed operacji, jednak wymaga to jeszcze wiele rehabilitacji i leczenia.

Obecnie opiekuje się nim wielu specjalistów: neurochirurg, okulista, pediatra, neurolog, surdologopeda, psycholog, tyflopeda, surdopeda, audiolog i rehabilitanci, doszedł nam jeszcze endokrynolog. Byłam przerażona ilością potrzebnych pieniędzy na rehabilitację. Bóg postawił na mojej drodze ludzi, którzy mi podpowiedzieli, jak można zebrać potrzebne środki. Wykonałam zadanie – założyłam konto w fundacji, a później Bóg dał nam ludzi, którzy przekazują pieniądze dla Przemka. To cudowne i niesamowite, jak bardzo Bóg troszczy się o swoje dziecko.

Przemek chodzi do zerówki. Czyta, pisze, opanował zegarek, lubi rówieśników i kocha Boga, uczy się o Nim, mówi ludziom o Bogu. Dla lekarzy jest cudem. Cała ta historia oddaliła ode mnie ludzi. Nawet najbliżsi, u których na samym początku szukałam oparcia, nagle gdzieś zniknęli, zajęci swoim życiem, swoimi obowiązkami, pozostał mi tylko Bóg.



***Całe szczęście
Stwórca
ma zawsze czas,
nie ocenia,
pomaga
bezinteresownie,
chce tylko naszej
miłości.
Z perspektywy
czasu
dziękuję Bogu
za to
doświadczenie.***

**Brak
najbliższych przybliżył
mnie do Boga i pozwolił
całkowicie zmienić grono
najbliższych na grono
niezawodnych znajomych.
Moje życie zostało
całkowicie odmienione.
Dzisiaj doskonale rozumiem
ból choroby, ludzkiej
bezsilności i rozpadające
się z tego powodu rodziny.**

W październiku 2012, przeglądając internet, znalazłam kurs Alfa organizowany w moim mieście przez Kościół Zielonoświątkowy. To był czas, kiedy straciłam nadzieję – odszedł ode mnie ojciec Przemek, zostawił nas bez środków do życia. Nie miałam nawet złotówki, żeby kupić chleb. Było mi bardzo źle, czułam, że zapadam się gdzieś głęboko w sobie i żadne poznane czary-mary nie pomagały. Pozytywne myślenie całkowicie zawiodło, a o medytacji nie było mowy – nie miałam na nią czasu i siły.

Nagle zaczęłam poznawać Jezusa i rozumiałam istnienie Boga żywego, pełnego troski o każdego człowieka. Choroba mojego syna była Bożym sposobem przyciągnięcia mnie do Niego. Nie wiem, kim byłabym dzisiaj, gdyby nie wszystkie moje doświadczenia. Cały czas uczę się pokory i Bożej miłości, tak różnej od ludzkiej miłości, ale tak bardzo doskonałej we wszystkich doświadczeniach. Poznałam Józefa, Joba i wielu innych, którzy zaufali Bogu, oddali Mu całkowicie swoje życie i wygrali.

Miałam chwile zwątpienia. Zastanawiałam się, dlaczego ja, co ja takiego zrobiłam. Zaczęłam obwiniać najbliższych za brak wiary w Boga, ale dobrotliwy Jezus nie obwiniął, przyjmował od Ojca wszystko i mo-

dził się. Chcę już zawsze mieć za swego przewodnika Jezusa.

Najbardziej brakowało mi wsparcia najbliższych. Zostałam sama z długami, chorobą syna i bezsilnością. Było mi przykro, kiedy zwróciłam się do rodziców z prośbą o pomoc i zostałam odrzucona, upokorzona. To było straszne doświadczenie. Kiedy poznałam Joba, zaczęłam powstawać – bogobojny człowiek został poddany próbie, z której wyszedł zwycięsko. Jego żona i przyjaciele nie dali mu potrzebnego wsparcia, sam walczył o Boga w swoim życiu. Widział w tym wszystkim sens, wytrwał i wygrał.

**Dzięki Ci, Boże,
że stanąłeś
na mojej drodze,
daneś w moje dłonie Biblię
i nie dajesz zwątpić,
kiedy jest mi źle.**

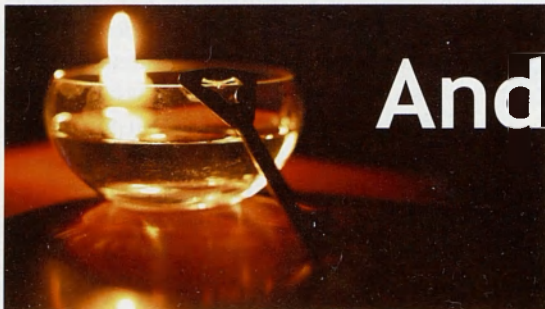
Odnajduję wiele przykładów Twojej obecności i wielki sens Twoich decyzji odnośnie mojego życia.

Tak wiele Bóg pozwolił mi doświadczyć. Bardzo chciałabym dzielić się moimi doświadczeniami, pomagać szczególnie osobom mającym dzieci niepełnosprawne, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci po operacji guza mózgu. Obecnie czekam na rozwiązanie kwestii mieszkania. Obawiam się, że za chwilę je stracę i pozostanę bez dachu nad głową, ale gdzieś w głębi serca czuję wsparcie Boga. Wiem, że oddając życie Jezusowi, ufając Mu, mogę być spokojna, na pewno i tutaj ma dla mnie jakiś plan.

Ps. Kilka tygodni temu ojciec mojego syna rozpoczął poznawanie Jezusa na kursie Alfa.

Jeśli kto mówi, niech mówi jak słowo Boże (1 P 4,11)

Aby otworzyć ich oczy, odwrócić od ciemności do światłości i od władzy szatana do Boga (Dz 26,18)



Andrzejki

odbywać, ponieważ są niezgodne ze Słowem Bożym. Poprosiła, żeby Bartosz jednak przyszedł, a ona zrezygnuje z zabaw andrzejkowych, które przygotowała i dzieci spędzą ze sobą czas inaczej.

Powiem szczerze, że obawiałam się, czy dotrzyma słowa, ale zaufałam Bogu i powierzyłam Mu tę sprawę. Słyszałam później, że dzieci wypytywały panią o wosk i wróżby, ale ona otwarcie powiedziała im, „że nie będą wróżyc, bo to Panu Bogu się nie podoba”. Jestem Bogu wdzięczna za to, że tego wieczoru uchronił dzieci od diabelskich zabaw i za otwarte serce nauczycielki.

Będąc z tego powodu bardzo radosna, niedługo potem doświadczyłam ataku ze strony znajomych, którzy pytali, czyżbym naprawdę nie chodziła do wróżki i nie czytała horoskopów.

Zostałam uznana za fanatyczkę, usłyszałam, że przesadzam z wiarą w to, co jest napisane w Biblii.

Słowo Boże mówi: *nie bójcie się lżenia ludzi i nie lękajcie się ich pośmiewiska (Iz 51,7), wszyscy, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, prześladowanie znosić będą (2 Tm 3,12).*

Na początku było mi przykro z tego powodu, ponieważ ludzie uważający się za chrześcijan, odrzucają prawdę zawartą w Słowie Bożym i tak łatwo potrafią sprawić innym przykrość. Ale Duch Święty nie pozwolił mi długo się smuć, przypominając słowa z 1 Listu Piotra 4,14: *błogosławieni jesteście, jeśli was znieważają dla imienia Chrystusowego, gdyż Duch chwał, Duch Boży spoczywa na was!* A dwa wersy dalej jest napisane: *Wszakże jeśli cierpi jako chrześcijanin, niech tego nie uważa za hańbę, niech raczej tym imieniem wielbi Boga.*

Dziękuję Bogu, Panu naszemu za to doświadczenie. Miłość Boga Ojca i łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będą z nami wszystkimi.

Pragnę podzielić się świadectwem, aby zachęcić do odwagi dzielenia się prawdą Słowa Bożego.

Głoś Słowo, bądź w pogotowiu w każdy czas, dogodny czy niedogodny, karć, grom, napominaj z wszelką cierpliwością i pouczeniem (2 Tym 4,2).

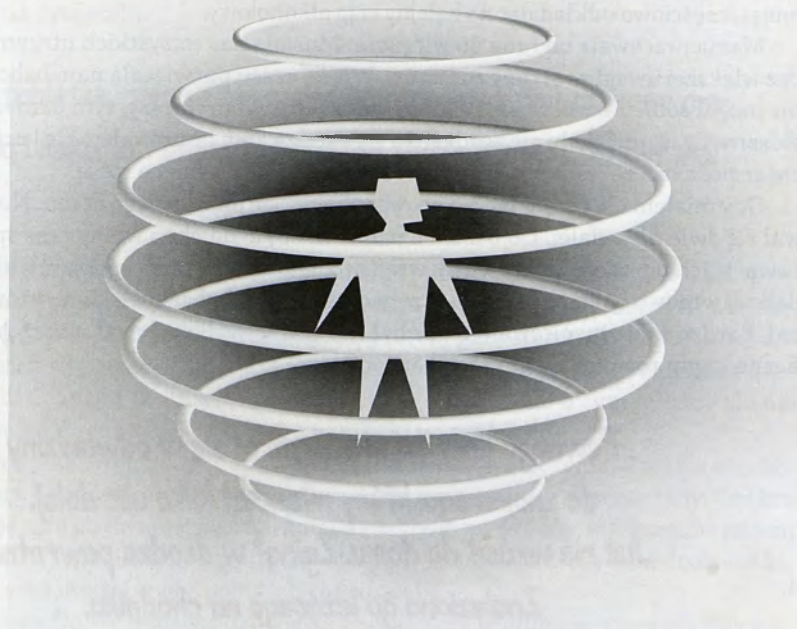
Rokrocznie w szkołach organizowane są zabawy andrzejkowe. Te pogańskie praktyki polegają na laniu wosku, wrózeniu i przepowiadaniu przyszłości w formie zabawy. My, jako chrześcijanie znający Słowo Boże – *Nie będziecie wróżyc ani czarować (3 Mz 19,26), ... gdyż obrzydliwością jest każdy, kto tak czyni (5 Mz 18,12)* – nie bierzemy udziału w takich praktykach, to oczywiste.

Wiedziałam, że wówczas nie pošlę syna do szkoły. Nie dawało mi jednak spokoju samo nieposyłanie go w tym czasie, wiedziałam, że powinienam zrobić coś więcej. *Bo jeśli ewangelię zwiastuję, nie mam się czym chlubić; jest to bowiem dla mnie koniecznością; a biada mi, jeśli ewangelii nie zwiastował (1 Kor 9,16).*

W dniu organizowanej zabawy poszłam usprawiedliwić nieobecność dziecka na wieczornym spotkaniu, a zapytana o powód, mogłam z odwagą powiedzieć o tym, że jako chrześcijanie kochamy Pana Jezusa, czytamy Słowo Boże, które mówi nam o tym, że nie możemy wróżyc i czarować, lecz pytać Boga w modlitwie, bo to On zna naszą przyszłość.

Wychowawczynie odpowiedziały, że też jest chrześcijanką i chodzi do kościoła, ale nie wiedziała, że tego rodzaju zabawy nie powinny się

Wyprowadził mnie ze świata niewoli



Wychowałem się w rodzinie katolickiej. Mama jest katoliczką i bardzo jej zależało, abym i ja nim był. Mam dwie siostry, z których jedna jest starsza ode mnie i młodszego brata. Kiedy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy w jednym domu wraz z babcią, dziadkiem, siostrą mamy i jej dwoma synami (moimi kuzynami) oraz z bratem mamy. Mieszkałem z rodzicami i rodzeństwem w jednym pokoju, ale nie przejmowałem się tym, że było ciasno.

Atmosfera w domu była nieciekawa. Wujek był nałogowym alkoholiczkiem, często wszczynał awantury. Niektóre z kłótni kończyły się bijatykami między wujem a jego ojcem (moim dziadkiem). Zawsze, kiedy wuj był pijany, bardzo się baliśmy. W jednej z awantur dziadek nie wytrzymał nerwowo i ugodził wujka nożem w brzuch, kiedy indziej złapał nogę z polamanego taboretu, która była zakończona kołkiem i zadał nią wujowi parę ciosów w głowę. Ten upadł na podłogę i leżał w kałuży krwi.

Problem z alkoholem nie leżał tylko w naturze wuja, również mój ojciec był związany nałogiem. Od najmłodszych moich lat bardzo ciężko pracował, a szpony alkoholu dosięgały go co jakiś czas. Nie pił codziennie, lecz kiedy zaczynał pić, zapominał o całym świecie, o nas, potrafił przez trzy tygodnie bez przerwy być w stanie upojenia, robił się agresywny i niebezpieczny. Czuliśmy przed nim lęk. Kiedy zaczynał się awanturować, był nieobliczalny. Po skończonym okresie upojenia wracał do swoich zajęć, znowu pracował, częściowo nas utrzymując, częściowo odkładając na kolejny ciąg alkoholowy.

Mama pracowała od rana do wieczora. Musiała nas wszystkich utrzymać. Dorastałem bez większej uwagi ze strony rodziców. Więcej czasu poświęcała nam babcia, która jednak nie mogła sobie z nami wszystkimi poradzić. Im byłem starszy, tym bardziej byłem nieposłuszny. Czasami, kiedy nie zgadzałem się z rodzicami, buntowałem się i uciekałem z domu, chcąc pokazać, że jestem niezależny i sam decyduję o tym, co robię.

Gdy miałem ok. ośmiu lat, wyprowadziliśmy się do własnego domu. Nowy dom znajdował się dwie ulice dalej. Do babci i dziadka nie było daleko i wolny czas spędzałem na zabawie w ich ogrodzie, gdzie wujek wraz ze znajomymi często spożywali alkohol. Opowiadali mi wtedy o bójkach i swoich przygodach. Wujek był człowiekiem, który nikogo się nie bał. Bardzo mnie inspirowało to, że był tak odważny. Pokazywał mi też gazety pornograficzne, czym również byłem zaintrygowany.

***Pewnego dnia dziadek wybrał się w odwiedzin
do znajomego, który mieszkał kilka ulic dalej.
Już nie wrócił do domu. Zginął w drodze powrotnej.
Znaleziono go leżącego na chodniku.
Jak zmarł, nie wiadomo, ponieważ nie zgodziliśmy się
na sekcję zwłok. Po dwóch latach od śmierci dziadka zmarł wujek,
również na ulicy. Zamarzał wracając pijany do domu. Miałem
wówczas trzynaście lat.***

Mama z ojcem coraz bardziej oddalali się od siebie. Alkohol niszczył naszą rodzinę. Matka często przebaczała ojcu, lecz z biegiem czasu czuła do niego coraz większą niechęć i brakowało jej zaufania. Do tego jeszcze my, dzieci, buntowaliśmy się przeciw ojcu i naciskaliśmy na nią, aby dała sobie z nim spokój.

Im bardziej dorastałem, tym większą czułem do taty nienawiść. Będąc w szóstej klasie szkoły podstawowej, zacząłem opuszczać się w nauce. Coraz więcej czasu spędzałem poza domem, przebywając z rówieśnikami. Często upijaliśmy się piwem. Szukaliśmy rozrywek i tzw. przyjemności tego świata, odrzucając przy tym szkołę, to, co dobre i to, co buduje. Cieszyło nas, kiedy mogliśmy coś zniszczyć, kogoś pobić. Byliśmy dumni, kiedy ktoś od nas oberwał. Po ukończeniu podstawówki przyjęto mnie do liceum zawodowego. Tam

również bardziej interesowałem się kolegami, koleżankami niż nauką. Po niecałym roku porzuciłem tę szkołę i zacząłem uczęszczać do zawodówki.

W tym czasie wraz z moim przyjacielem postanowiliśmy spróbować czegoś innego niż alkohol. Postaraliśmy się o działkę marihuany. Bardzo się nam podobało. Zaczęliśmy palić częściej, ale po roku, gdy stało się to już rutyną, postanowiliśmy spróbować czegoś innego. Tym razem zakosztowaliśmy tabletek ekstazy. Było świetnie! Do tego dochodziły cotygodniowe wypady na dyskoteki.

Łykanie tabletek, palenie marychy, do tego kilka piw, czasami amfetamina i kokaina, i impreza w jakimś klubie techno... To był mój sposób na życie.

W tygodniu zbierało się pieniądze i czekało się z niecierpliwością na weekend, żeby tylko udać się na imprezę. Imprezy techno pełne są ludzi szukających mocnych wrażeń. Królują tam narkotyki, dealerzy, roi się od prostytutek, gangsterów. W takich klubach rządzi prawo pięści, siły, pozycji, znajomości. Gdy dochodzi do bijatyki, przeważnie ktoś trafia do szpitala. Czasami dochodzi do morderstw, gwałtów. Ale o tym głośno się nie mówi, po co sobie psuć reputację. Sam noszę pamiątki po takich bójkach.

Trzeba było też jakoś wyglądać i dopasować się do tamtego otoczenia. Zaczęło się chodzenie na siłownię. Tu, oczywiście, środki wspomagające wzrost i siłę, tzw. sterydy. Czulem wielką satysfakcję, gdy po dwumiesięcznej kuracji przybyło mi dziesięć kilogramów mięśni i jeszcze raz tyle siły. Działałem pod wpływem sterydów, więc wystarczała mi drobnostka, żeby w napadzie wściekłości kogoś pobić lub coś rozwalić.

Głupoty przybywało. To było coś dziwnego: wiedziałem że głupieję, tracę zdrowy rozsądek, nerwy mam w rozsypce i nie potrafiłem się od tego uwolnić, brnąłem coraz bardziej. Widziałem świat przez pryzmat nienawiści, niechęci, podejrzeń, zazdrości, chciwości, smutku, rozpacz, żalu, bezsensowności. Tak, właśnie tym było wypełnione moje serce. Ale w środku rozgrywała się tragedia, której nie dostrzegały osoby z zewnątrz. Mało tego – wielu imponowała moja postawa. Choroba rozprzestrzeniła się. W moim wnętrzu rodziła się wyniosłość, pycha i niechęć do dzielenia się problemami. Brnąłem dalej. Biblia nazywa taki stan niewolą grzechu.

Na jednej z imprez poznałem moją obecną żonę. Zakochałem się. Coraz mniej czasu spędzałem z kolegami. Przez dwa lata nasz związek był udany, ale później przyszedł kryzys. Zacząłem się robić podejrzliwy, zazdrosny, chociaż nie miałem ku temu powodów. W mojej głowie rodziły się powody do zazdrości, mnożyły się i nie dawały nam spokojnie żyć. Stało się to nie do zniesienia. Brak zaufania to jeden z najgorszych przeciwników związku. W bardzo szybkim tempie pożera on zdrowe relacje, miłość. Moja żona bardzo mnie kochała i wytrzymała to wszystko. Przyznam się, że ją podziwiam.

Później do naszego już i tak kalekiego związku wdarła się pornografia. Zaczęło się od obejrzenia jednego filmu. Oczywiście, wszystko z mojej winy. Okazał się to kolejny gwóźdź do trumny. Szybko mnie to wciągnęło.

Muszę dodać, że moje relacje z ojcem były w bardzo złym stanie. Kilka razy go pobitem. Szukałem towarzystwa chuliganów. Uczestniczyłem w tzw. ustawkach, czyli walkach z inną grupą kibiców. Moja dziewczyna zaszła w ciążę. Pobraliśmy się. Coś zaczęło się zmieniać na lepsze. Urodziła się nam córeczka. Jednak nie minęło pół roku i odezwały się stare nawyki. Szatan powrócił. Moje zepsute wnętrze zaczęło się odradzać. Nie byłem szczęśliwy, cały czas nosiłem ciężar w sercu. Depresja, złość, niechęć, wszystko to nie chciało mnie opuścić.

I tak, nosząc ciężar win, w moim sercu zrodziła się myśl, aby kupić Pismo Święte. Nigdy wcześniej nie słyszałem żadnego świadectwa nawrócenia, nikt też mi nie mówił, co zawiera Biblia. W tym czasie często chodziliśmy do kina. Pewnego wieczoru wybraliśmy się z przyjaciółmi na horror o opętaniu dziewczyny przez szatana. Nosił tytuł „Egzorcyzmy Emily Rose”. Wstrząsnęła mną realność świata demonów. Już wcześniej nieraz budziłem się zlany potem, czując jakąś złą obecność nie z tego świata. Wiedziałem, że istnieją demony i film bardzo mnie przestraszył.

***Krótko po seansie filmowym kupiłem Pismo Święte.
Kiedy zacząłem czytać, słowa Jezusa zrobiły na mnie ogromne
wrażenie. Jeszcze nic mnie tak mocno nie poruszyło. Doznałem
opamiętania. O, jaki byłem szczęśliwy i spokojny,
kiedy zająrzałem do tej Świętej Księgi!***

Nie znając innego kościoła, jak tylko katolicki, natychmiast poszedłem do spowiedzi. Lecz Jezus miał mnie w swojej opiece i zaprowadził mnie do kościoła nie sakramentów i katechizmu wymyślonego przez ludzi, ale do kościoła, gdzie Słowem jest wyłącznie Biblia. Chwała Bogu za to! Znalazłem się w Kościele Chrześcijan Baptystów, w którym przyjąłem chrzest. Wcześniej w ogóle nie wiedziałem o istnieniu takich kościołów, wszystkie inne wyznania niż katolickie kojarzyły mi się z sektami.

Kiedy przeczytałem słowa Jezusa, zajaśniało w moim życiu. Wszystko się zmieniło. Pogodziłem się z tatą. Mamy bardzo dobre relacje. Naprawiłem dużo starych błędów. Czuję się po prostu wolny. Jedynym moim problemem jest to, jak lepiej poznać Pana Jezusa. Być może komuś, kto będzie to czytał, jego życie wyda się podobne do mojego. Być może uzna, że to śmieszne, ale niech wie, że bardziej cieszy mnie teraz uwielbianie Jezusa w śpiewie niż impreza pod wpływem koksu. Tamten świat to świat niewoli. Każdy, kto grzeszy, jest niewolnikiem grzechu. Ale pamiętajcie, że jest wolność.

***Wolność może dać tylko Jezus Chrystus
Ten sam wczoraj, dziś i na wieki.***

Świadectwo nawrócenia

Pochodzę z rodziny katolickiej. Nasi rodzice wychowali nas zgodnie z tradycją religijną. W moim dorosłym życiu hołdowałem tym samym zasadom i tak płynął czas. Nic nie wskazywało na to, że stanę się dzieckiem Bożym. Założyłem rodzinę i zamieszkaliśmy w Sobinie. Urodziły nam się trzy córki, które wychowywaliśmy zgodnie z zasadami, które wpojono nam w dzieciństwie.

To, że żyłem po drugiej stronie światłości, czyli w ciemności, nie docierało do mnie. Żyłem przecież w grzechu. Wszystkie święta obchodzone były zgodnie z tradycją: najpierw wyjście do kościoła, a potem obficie zastawiony stół i, oczywiście, alkohol! 13 wiersz Psalmu 69 mówi: *Rozmawiają o mnie siedzący w bramie i do gry na strunach śpiewają o mnie pijacy*. To było złe. Teraz, gdy poznałem Słowo Boże, to rozumiem.

Wszystko zaczęło się od mojej żony. Pewnego razu, gdy wróciłem z pracy, zastałem ją czytającą jakąś książkę. Przypomniałem sobie wówczas, że dzieje się tak od jakiegoś czasu, tylko dotąd nie zwracałem na to uwagi. Zobaczyłem, że jest to Pismo Święte. Byłem po kilku piwach, zareagowałem więc gwałtownie, gasząc jej światło. Gdy przebudziłem się w nocy, zobaczyłem moją żonę czytającą przy świecy, gdyż nie pozwalałem jej palić światła. Robiłem tak przez jakiś czas, myśląc, że ją w ten sposób zniechęcę. Po pewnym czasie, gdy przebudziłem się w nocy, znów zastałem żonę czytającą przy świecy, wówczas ona powiedziała coś, co pamiętam do dziś.

Zapytała, czy może mi coś przeczytać. Zgodziłem się, a gdy przeczytała, kazałem jej zapalić światło i poprosiłem, aby przeczytała mi te słowa jeszcze raz. Zaczęły one pracować w moim sercu. Pan Jezus był przy mnie i zrozumiałem, w jakim grzechu żyję! To, że spowiadałem się księdzu, nie miało nic wspólnego z Bogiem. Zacząłem sam czytać Biblię, a Duch Święty rozpoczął pracę nad mną i nad moją żoną. Ona pierwsza odważyła się wyjść z kościoła, ja po miesiącu również przestałem tam uczęszczać. Pojechała do Lubina na nabożeństwo ewangeliczne, gdzie poznała pewne braterstwo z Polkowic, Olę i Janusza.

Dałem się namówić i sam też pojechałem. Zaczęliśmy jeździć regularnie co niedzielę. Słowo Boże rozbrajało mnie doszczętnie. Zgłosiliśmy się do chrztu wodnego i w czerwcu 1988 roku zawarliśmy przymierze z Bogiem, zgodnie z obietnicą Pana Jezusa z Ew. Jana 3,5: *Odpowiedział Jezus: zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się kto nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego*.

Kroczymy za naszym Pasterzem, Jezusem, wspólnie z żoną i dwiema córkami. Wierzę, że również trzecia córka oraz dorastający syn, który urodził się nam podczas naszej pielgrzymki za Panem Jezusem, staną się dziećmi Bożymi. Bo Słowo Boże powiada: *Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony ty i dom twój*.

Życzę wszystkim, którzy uwierzyli w żywego Boga, Jego błogosławieństwa i wytrwania do końca w światłości Bożej. Amen.

Służba muzyczna

Śpiew i muzyka stanowią istotne elementy funkcjonowania kościoła, jako społeczności ludzi wierzących. Każde nabożeństwo to okazja do skupienia się na słuchaniu Słowa Bożego, a także do oddawania Bogu chwały. Czynimy to między innymi poprzez różnego rodzaju pieśni, od radosnych i entuzjastycznych poczynając, po nastrojowe, bardziej łagodne w swoim klimacie. Pieśniom towarzyszy z reguły akompaniament pojedynczego instrumentu lub większego zespołu. Kościół nasz, instytucjonalnie rzecz biorąc, jest stosunkowo młody – niedawno obchodziliśmy 100-lecie jego istnienia na naszym terenie – tak więc muzyka, stanowiąca integralną część nabożeństwa przez lata się kształtowała i dalej – choć to nie najlepsze określenie – ewoluuje. Ponieważ od najmłodszych lat jestem w tę służbę zaangażowany, chciałbym podzielić się kilkoma przemyśleniami.

Już jako nastolatek miałem przywilej zasiąść przy fisharmonii i akompaniować podczas nabożeństwa.

Było to dla mnie wielkim przeżyciem co najmniej z kilku powodów. Po pierwsze, byłem wówczas chłopcem o wątłej budowie, a wydobycie dźwięku z tego instrumentu wymaga nie lada wysiłku. Każdy, kto choć raz w życiu widział fisharmonię wie, że podczas gry trzeba pracować zarówno rękami, jak i nogami. W moim przypadku sprawa dodatkowo się komplikowała, gdyż miechy zborowego instrumentu były dziurawe i wtłaczane powietrze uciekało na boki. Po drugie, byłem na początku swojej edukacji muzycznej i graniu ze śpiewnika, który posiadał zapis nutowy w czterogłosie chóralnym sprawiało mi nie lada trudności. To wszystko wywoływało u mnie stres, z którym także musiałem sobie poradzić. Nie wspomnę już o wielu krytycznych uwagach kierowanych pod moim adresem, dotyczących wykonania poszczególnych pieśni, ich tempa, rytmiki, a także popełnianych przeze mnie pomyłek.

Patrząc na to z perspektywy czasu, dziwię się, że potrafiłem to wszystko znieść i nie zniechęcić się. Myślę, że mogę to określić jednym z Bożych cudów w moim życiu.

Tak. Z pewnością w służbie dla Boga, tej wykonywanej w kościele, potrzebna jest między innymi cierpliwość i wytrwałość. To z kolei uczy pokory i niewątpliwie kształtuje charakter. Gdybym po jednej z takich uwag „usztynił” swoją postawę, myśląc sobie: „Nie będę tego słuchał, wiem swoje i nie potrzebuję żadnej korekty”, jestem pewien, że już dawno ktoś inny zająłby moje miejsce. Mam bowiem świadomość tego, że nie jestem niezastąpiony. Jeżeli ja się obrażę, Bóg użyje kogoś innego. Oczywiście, będzie to ze szkodą dla mnie, a nie dla zboru.

Służyłem więc dalej, dziękując za wszystkie napomnienia, a praca dla Pana przynosiła mi coraz więcej radości. Z biegiem czasu zmieniono instrument na elektroniczny, nie trzeba już było pedałować, a i dźwięk był dużo ładniejszy.

Doskonalilem także swoje umiejętności muzyczne w zakresie teoretycznym i praktycznym. Bóg sprawił, że coraz częściej zaczęły się też pojawiać słowa zachęty. To niesamowite, ale przychodziły zawsze w momencie, gdy najbardziej tego potrzebowałem.

Zmieniał się i wzbogacał również rodzaj muzyki. „Śpiewnik Pielgrzyma”, jedyny niegdyś zbiór bardzo pięknych skądinąd pieśni, zyskał towarzystwo tak zwanych refrenów, czyli krótkich melodii, opatrzonych prostym tekstem, które można było powtarzać dowolną ilość razy. Forma ta szybko się przyjęła i, podlegając dalszemu rozwojowi, z powodzeniem funkcjonuje do dziś.

To wspaniałe, że Bóg ma dla nas ciągle nowe rzeczy. Dotyczy to również dziedziny, jaką jest muzyka. On także w tym zakresie stale nas inspiruje, nie dopuszczając do tego, byśmy zastygli w jakiejś wybranej przez nas formie. Wszak mamy być kościołem żywym, otwartym na Jego głos.

Wracając do moich doświadczeń, muszę przyznać, że po kolejnych kilkunastu latach z radością powitałem pojawienie się na rynku muzycznym innowacyjnego instrumentu klawiszowego, który imitował brzmienie całej orkiestry, a przynajmniej zespołu muzycznego, posiadającego w swym składzie perkusję, gitarę basową, piano i wiele innych, klasycznych instrumentów. Było to coś, na co czekałem, dlatego niezwłocznie postanowiłem go wykorzystać. Wiem, że to tylko namiastka, która nie zastąpi żywych muzyków, dla mnie jednak stanowi odpowiednią alternatywę.

**Cieszę się, że i w tym względzie nastąpił mały rozwój
– od fisharmonii do keyboardu.**

Uwielbianie, jak z biegiem czasu zaczęto nazywać część nabożeństwa, która odbywa się z wykorzystaniem muzyki, stało się ważnym elementem każdego zgromadzenia. Przeznacza się na nie mniej więcej tyle samo czasu, co na kazanie. Tym bardziej więc istotnym jest, by było ono okazją do tego, aby każdy z obecnych został zainspirowany i zachęcony do oddawania chwały Bogu, do nawiązania osobistych relacji ze Stwórcą w atmosferze Jego obecności. To wielka odpowiedzialność, która ciąży na liderze uwielbiania i członkach jego zespołu, zatem oprócz sporządzenia programu i próby, każdorazowa usługa wiążąc się musi z przygotowaniem duchowym i modlitwą.

Jestem wdzięczny Bogu za to, że mogę być zaangażowany w tę służbę. Dziękuję Mu również za tych wszystkich, którzy przykładają do niej swoją rękę.

Życzę im, by podobnie, jak ci, którzy – zgodnie z tym, co mówi Biblia – przyłożyli ją do pług, nie oglądali się wstecz. (Łk 9,62).

Proszę również wszystkich, którym praca ta leży na sercu, aby wspierali nas swymi modlitwami i oczekiwali na nowe powiewy Ducha Świętego, który kieruje nasze oczy na niewyczerpane Boże błogosławieństwa.



Bóg przemawia w ciszy

We współczesnej cywilizacji istnieje wiele chorób. Jedną z nich jest brak zdolności wsłuchiwania się w siebie. Człowiek, który nie potrafi słuchać siebie, nie potrafi też słuchać drugiego człowieka. Nosi w sobie niepokój, który czyni go mało wrażliwym. Ludzie naszego pokolenia stali się niewrażliwi. Spokojnym i subtelnym opowiadaniem o życiu, miłości czy przyjaźni nie można dziś już nikogo zachwycić. Trzeba odwołać się do przemocy, brutalności i hałaśliwego stylu życia. W hałasie człowiek wyraża powierzchowną radość. Hałasem wyraża poczucie żalu i zagubienia. Tylko w hałasie można utopić swój gniew, a nawet grzech. Taki jest ten świat...

Niektórym jest bardzo trudno przebywać w ciszy, ale tylko tutaj można odkryć prawdę o samym sobie, o swoim niezadowoleniu, zagubieniu i o tym, co tak naprawdę nam dośkwiera. Aby nie musieć być skonfrontowanym z prawdą o sobie samym, wolimy hałas, w którym nie słyszymy swoich myśli, głosu sumienia.

Podczas spotkania w gronie znajomych, na grillu czy przy kawie z ciastem rzadko zdarza się, by rozmowy były przeplatane śpiewaniem pieśni, rozważaniem Bożego Słowa i modlitwą. A przecież znamy biblijne teksty, np.: *Rozumiejcie, jaka jest wola Pańska; nie upijajcie się winem., ale bądźcie pełni Ducha. Rozmawiając ze sobą przez psalmy, hymny i pieśni duchowe (Ef 5,17-18). Także bezwstyd, błazeńska mowa lub nieprzyzwoite żarty, które nie przystojną, ale raczej dziękczynienie (w. 4).*

Jezus powiedział jasno: *uczcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca.* Styl życia przeciwny nauczaniu Jezusa jest przyczyną, dla której chrześcijanie tracą wrażliwość na

Boże Słowo i nie mogą usłyszeć głosu swojego Boga. On zawsze przemawia w ciszy, nigdy nie krzyczy.

Ustami proroka Ozeasza w 2,16 Bóg mówi: *Dlatego teraz zwabię ją i zaprowadzę na pustynię, i przemówię łaskawie do jej serca, (...) słuchać mnie tam będzie, jak w dniach młodości.* Analogia przebywania na pustyni i naszej codzienności jest zrozumiała. Na pustyni nie ma gwaru życia. Tylko w wyciszeniu może się ujawnić życiowy chaos, poczucie winy, strach i ból. Tylko w ciszy można dojrzeć swoje „ja” i poprawić to, co jest do poprawienia. Biblia mówi, że w ciszy i zaufaniu jest wasza moc, więc spróbuj w ciszy doświadczyć samego siebie.

Dlaczego boimy się siebie i chowamy się w hałasie? Uciszenie swojej duszy jest w Bogu, a nie w świeckim stylu życia. Jeśli naprawdę pragniemy usłyszeć głos swojego Boga, spróbujmy wyciszyć się wewnątrz.

Dla niektórych przebywanie w ciszy może okazać się bardzo trudne, a nawet bolesne. Pan Bóg wychodzi naprzeciw takim potrzebom i mówi: „Chodź ze Mną na pustynię, a tam przemówię do ciebie w ciszy. Chcę, abyś wejrzał w siebie i zobaczył, co tak naprawdę ci dolega, żebyś zobaczył źródło swojego niezadowolenia, zobaczył samego siebie i przestał się oszukiwać. Pozwól, by narodziła się prawdziwa historia o twoim życiu, nieważne: krótkim czy długim, ale o twoim życiu. Musisz ją poznać i najlepiej będzie, jeśli ją poznasz prawdziwą, taką jaką jest”.

Nie zawsze jednak człowiek jest chętny, by słuchać Bożego pouczenia. Gdy tak się dzieje, czasem Bóg musi go zatrzymać, np. w szpitalu, więzieniu, czy w łóżku w domu. Przeżyłem to osobiście, ale nawet te smutne i bolesne doświadczenia należy uznać za łaskę, bo zmierzają ku naszemu dobru, ku wyciszeniu.

Nie chodzi o to, by wierzący człowiek chodził ze zwieszoną głową, z wyrazem smutku na twarzy. Gdzieś istnieje granica mojej radości i muszę sobie zadać pytanie, czy ona nie jest aby pusta i czy nie ośmiesza mnie samego, a przy tym zasmuca Ducha Świętego i głośza Jego głos? No właśnie, gdzie jest ta granica?

Dla chrześcijan ta granica nie jest trudna do uchwycenia. Wskazówką jest Boże Słowo. Dostrzeganie tej granicy i odczytywanie jej zależy od naszego duchowego stanu i pragnienia Boga, a także stosunku do Bożego Słowa. Bez tych wartości łatwo jest tę granicę dowolnie przesunąć, aż do osiągnięcia świeckiego stylu życia, który stanie się naszą codziennością.

Jezus był odbiciem swojego Ojca, my z kolei mamy być odbiciem naszego Pana, ponieważ to Jezus stał się najbardziej ludzki i nam najbliższy, po to, abyśmy mogli stawać się podobni do Niego. Taka postawa winna być naszym świadomym wyborem i dążeniem.

Na kartach Nowego Testamentu nie znajdziemy przykładów, by Pan Jezus żartował, pobudzał innych do pustego śmiechu. Nie czynili też tego apostołowie. Nauczali: *Wszystko, cokolwiek czynicie, ku chwale Bożej czyńcie.* Apostoł Piotr mówi: *za przykładem świętego, sami też bądźcie świętymi.*

To jest właśnie ta granica. Nie przesuwajmy jej dowolnie, bo to zasmuca Ducha Świętego, a nam wystawia wątpliwe świadectwo jako naśladowców Jezusa. Nie musimy mieć zawsze smutnej twarzy, nie musimy też zawsze reagować hałaśliwym i pustym śmiechem. Możemy być radosnymi od wewnątrz, a na twarzy mieć miły uśmiech, który będzie świadectwem tego, że jesteśmy uczniami Jezusa. I to wystarczy. Kto mówi, że w Nim mieszka, powinien sam postępować, jak On postępował, pisze apostoł Jan.

WYKORZYSTUJĄC CZAS

Co można robić w gorące, lipcowe noce, kiedy ze snu wybudza pulsujący ból? Po pierwsze, można wziąć leki i czekać aż zadziałają. Wyczekiwać, patrząc na stojący na komodzie elektroniczny zegar, którego cyferki zdają się zmieniać o wiele wolniej niż podczas dnia. Można też wybrać chodzenie w kółko po pokoju lub wyglądanie na zewnątrz przez otwarte okno. Z wysokości pierwszego piętra można obserwować starego jeża, powoli przechadzającego się po trawniku bądź też liczyć te okna w mieszkaniach naprzeciwko, w których

Są też inne sposoby na zabicie wlokących się godzin: rozczulanie się nad sobą, wspomnianie lepszych dni, zamartwianie o jutrzejsze. Wreszcie można włączyć telewizor i bezmyślnie wpatrywać się w pierwszy lepszy serial, nie orientując się wcale, o co w nim właściwie chodzi.

To wszystko Bożena wypróbowała już wielokrotnie. Tylko że kiedy zaczynała kolejny dzień, zawsze miała wrażenie, że coś straciła, że zmarnowała czas. Czuła, że powinna była z nim zrobić coś zupełnie innego. Tylko co?

Owszem, podczas tych długich nocy także się modliła. Nie zliczy już, ile razy prosiła o zabranie uciążliwej choroby albo przynajmniej o to, żeby leki wreszcie zadziałały. Czytała też Biblię, najwięcej uwagi poświęcając historiom uzdrowień: dziesięciu trędowatym; kobiecie, która dotknęła szat Jezusa, ślepemu Bartymeuszowi. Szukała sposobu na przekonanie Boga, że ją również powinien uzdrowić. Próbowała rozmaitych rodzajów modlitwy i... nadal była chora.

„Wszystko czemuś służy” – tak ją uczono od dziecka: na szkółce niedzielnej, podczas kazań i w domu. „Bóg ma w związku z tobą jakiś plan. Nic nie dzieje się bez powodu” – dobrze znała te wszystkie prawdy. Teraz jednak nie widziała ani powodu, ani planu. No bo czemu może służyć jej cierpienie? Co dobrego mogą przynieść nieprzespane noce? „Powiedz mi, Panie Boże, po co to wszystko?!” – pytała.

Nie wie, dlaczego tak długo nie słyszała odpowiedzi. Być może musiała do niej w jakiś sposób dojrzeć. Może po prostu była tak zajęta myśleniem o sobie, że nie zauważała nic oprócz własnych trosk i zmartwień? Ale pomimo tego pewnej niedzieli odpowiedź przysłała. Nadeszła niespodziewanie właśnie wtedy, gdy zupełnie nie była nastawiona na słuchanie Bożego głosu.

„Wykorzystujcie czas!” Głos pastora zagrzmiął zza kazalnicy. Ocknęła się z zamyślenia. Wstyd przyznać, ale zupełnie nie uważała. Czuła się wyczerpana i miała problem ze skupieniem uwagi na kazaniu. Do tego ustawicznie powracały do niej myśli o zbliżającej się wizycie syna z żoną i o potrzebie remontu kuchni. Jakby tego było mało, maluch siedzący na kolanach matki w ławce z tyłu, co chwila zeskakiwał na podłogę, chcąc udać się na wędrownkę po kaplicy. Młoda kobieta robiła wszystko, by go od tego odwieść, jednak nie mogła skłonić dziecka do pozostania na miejscu.

„Wykorzystujcie czas, bo dni są złe” – jeszcze raz powtórzył pastor. „Gdzie jest ten werset?” – zajrzała do Biblii siedzącego obok męża. Była otwarta na Liście do Efezjan. Przebiegła wzrokiem po stronach. Zatrzymała się na piątym rozdziale. Tak, to ten fragment: *Obudź się, który śpisz i powstań z martwych, a zajaśnieje ci Chrystus. Baczcie więc pilnie, jak macie postępować, nie jako niemądrzy, lecz jako mądrzy, wykorzystując czas, gdyż dni są złe. Dlatego nie bądźcie nierozsądni, ale rozumieście, jaka jest wola Pańska. Wtedy właśnie poczuła, że Bóg kieruje te słowa specjalnie do niej: do zmęczonej i zniechęconej uciążliwymi dolegliwościami kobiety.*

... wykorzystując czas, gdyż dni są złe. O tak, wszystko się zgadzało: nie tylko dni były złe, ale przede wszystkim noc! ... rozumieście, jaka jest wola Pańska. „Jaka więc jest Twoja wola Panie? Pokaż mi, jestem gotowa. Tak, myślę... że w końcu jestem gotowa ją przyjąć” – modliła się gorąco po powrocie do domu. Dotarło do niej, że marnowała swój czas. Trwoniła



samotne godziny, gdy choroba wybudzała ją ze snu. Zużywała je na bezowocne rozmyślenia i bezcelowe narzekanie. A przecież dookoła było tyle do zrobienia!

Na myśl przyszła jej młoda kobieta z dzieckiem, siedząca za nią podczas nabożeństwa. Nic o niej nie wiedziała, oprócz tego, że jej mąż wyjeżdżał do pracy oddalonej o 300 kilometrów od domu i czasami nie wracał nawet na niedzielę. Dziecko rosło praktycznie bez ojca, a niedoświadczona matka z trudem radziła sobie z ruchliwym chłopcem. „Trzeba się modlić o zmianę ich sytuacji, to przecież nie jest dobre dla małżeństwa!” – pomyślała z nagłym przyływem troski o los tej rodziny.

Albo starszy brat Edward... Kiedyś przygotowywał takie piękne kazania. Pamięta, jak bardzo poruszały ją jego usługi. Śpiewał też wspaniale, nawet nie potrzebował mikrofonu – jego mocny tenor niósł się daleko przez otwarte okna kaplicy. Ale to było wiele lat temu. Teraz jest już bardzo schorowany. Zaraz, w jakim on jest wieku? Na pewno już ładnych parę lat temu przekroczył osiemdziesiątkę. A przecież nigdy nie opuszczał nabożeństw, choć widać było, że przyjsście w niedzielny poranek jest dla niego dużym wyzwaniem. Zwróciła ostatnio uwagę na to, z jakim trudem się porusza. Tak, on też potrzebuje wsparcia modlitwy.

A pastor? Kiedy ostatnio wstawiała się za nim o mądrość, Boże prowadzenie, o siły do służby? Nie pamięta, chyba dawno... bardzo dawno. Koniecznie też musi zacząć wspierać nauczycieli szkółek niedzielnych. Tyle dobre robią, a prawie nikt tego nie zauważa, łącznie z nią samą. Ktoś przecież musi o nich pamiętać! I tym kimś powinna być ona!

Tej niedzieli otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła czystą, dużą kartkę. Wzięła długopis i zatytułowała „Lista modlitewna”. Następnie wypisała w punktach:

1. Młode małżeństwo z dzieckiem.

2. Pastor.

3. Wujek Edward.

4. Nauczyciele szkółek niedzielnych: Ania, Lilianna, Renia, Olek, Zbyszek.

I tak się zaczęło... Z tygodnia na tydzień lista wydłużała się. Przecież było tyle spraw do wyproszenia u Boga! Im bardziej się rozglądała, tym więcej dostrzegała ich wokół siebie. I tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że może pomóc. W zły dla siebie czas, zamiast leżeć i patrzeć w sufit, może zrobić coś dobrego!

I właśnie dlatego, w tę lipcową noc Bożena nie tkwi, tak jak kiedyś, bezmyślnie przy oknie. Nie denerwuje się już na blask księżycy wpadający do sypialni ani nie przeskakuje pilotem z telewizyjnego kanału na kanał. Otwiera szufladę i wyciąga złożoną na czworo kartkę.

Właściwie nie musi jej wcale otwierać, bo wszystkie pozycje zna przecież na pamięć. Niektóre są zakreślane zielonym mazakiem, a z boku widnieje napis „Chwała Bogu!”. W ten sposób zaznacza sprawy, o które nie trzeba się już modlić. Tak jest z małżeństwem, zajmującym pierwszą pozycję na kartce. Nareszcie są razem! Młody mąż znalazł pracę w mieście. W końcu wspólnie wychowują dziecko, a ona cieszy się, widząc, jak w niedzielny poranek rodzina wchodzi razem do kaplicy. Nie zabiega też już o wujka Edwarda, ponieważ odszedł kilka tygodni temu do domu swego Pana ani o dziecko dla małżeństwa pragnącego go od wielu lat. Te sprawy Bóg w swojej wielkiej dobroci i mocy rozwiązał. Natomiast o inne trzeba modlić się nadal. Modlić, dopóki nie przeminie ostatni zły dzień i ostatnia noc.

Więc Bożena zapala lampkę, klęka przed swoim łóżkiem i zaczyna: „Panie mój i Boże, dziękuję za kolejny dzień, który mi darowałeś w swojej łasce. Niech z każdej mojej chwili płynie Ci chwała i cześć...”



2 Jezusem w łodzi życia

Przez wieki ludzie mieli złe wyobrażenie o Bogu. Dlaczego tak się stało? Kto z takim uporem przedstawia ludzkości fałszywy obraz Stwórcy? Spróbujmy się nad tym zastanowić.

W raju pierwsi ludzie mieli absolutną ufność do Boga. Kochali Go. Mieli z Nim stałą społeczność. Co się jednak stało, że ich zaufanie zostało podważone? Komu na tym zależało? Było to dzieło szatana. Od tego czasu ludzie mają fałszywe wyobrażenie o Bogu. Niewłaściwy obraz Boga destrukcyjnie wpływa na ludzkie życie, a Jemu samemu sprawia ogromną przykrość.

Faryzeusze uważali, że Bóg jest niedostępny i surowy, więc raczej nie trzeba się z Nim kontaktować. W ten sposób stworzyli własny, hermetyczny krąg wyznawców. Zdołali uzyskać wysoki poziom zewnętrznej moralności, ale byli tylko pozorantami. Pan Jezus bardzo szybko ich rozszyfrował, nazywa-

jąc *pobielanymi grobami*. Przykładali oni dużą wagę do rzeczy duchowo nieistotnych, zaś do ważkich odno-
sili się kpiąco. Błędne pojmowanie istoty Boga odbijało się negatywnie na stosunku do Niego. Ograniczało
faryzeuszy w potrzebie wielbienia Go i służenia Mu z potrzeby serca. Służba Bogu nie przynosiła tym ludziom
radości, ponieważ duchowo była im obca. Faryzeusze nie darzyli „swojego” Boga miłością, dlatego ich re-
ligia była monotonna, ponura, rytualna, nudna i martwa.

*Nasze wyobrażenie o Bogu, poznanie prawdy o Nim, ma
ogromny wpływ na kształt naszej wiary. Decyduje, czy będzie
ona żywa, przepiętna obecnością Zbawiciela, czy też mar-
twa, tradycyjna, ograniczona do niedzielnego obrzędu.*

Niestety, znaczna część chrześcijan odziedziczyła mentalność faryzeuszy, ich surowość i drobiazgowość w pielęgnowaniu przepisów, ponuractwo płynące z konieczności nadawania rangi rytuałom pozbawionym duchowego życia. Przyczyna podobnej postawy wobec Stwórcy zawsze była taka sama. Fałszywy obraz Boga, zniechęcający człowieka do poszukiwania z Nim bliskiej, osobistej relacji.

Pamiętam moje dzieciństwo. Mama była bardzo pobożną katoliczką. Gdy byliśmy z siostrą niegrzecz-
ne, natychmiast „uruchamiała” Pana Boga, jako skuteczne narzędzie wychowawcze, grożąc, że nas suro-

wo ukarze za nieposłuszeństwo. Taka właśnie była i jest mentalność ludzi religijnych. Są nadmiernie surowi wobec otoczenia, jak Bóg, w którego wierzą. Boga używają do straszenia dzieci na równi z Babą Jagą.

Człowiek instynktownie wzoruje się na obrazie Boga, jaki zna, jaki mu został przekazany. Wielu ludzi wskutek tego wyobraża Go sobie jako surowego, rygorystycznego sędziego, czekającego tylko na okazję, aby przyłapać człowieka na przekraczaniu przepisów i dołożyć mu z nawiązką za nieposłuszeństwo. We własnym życiu w stosunku do otoczenia, starają się Go w najlepszej wierze naśladować.

Istnieje dość liczne grono ludzi, którzy kojarzą Boga ze światem niedoli i nieszczęść. Sama spotykam się z taką pseudochrześcijańską postawą, która jest po prostu odmianą faryzeizmu. Tacy ludzie wolą być religijni aż do bólu, byle tylko nie „dźwigać krzyża Chrystusowego”. Kto wie, ile mieści się w Nim „ciążarków i pułapek” zastawionych przez takiego Boga? Jeszcze Pan Bóg, jakiego znają, po kryjomu doczepi je do ich krzyża! Oj, co wtedy będzie? Strach przed takim Bogiem, obawa i nieufność, każą trzymać Go na bezpieczny dystans. Życie chrześcijanina jest postrzegane jako ponura i monotonna dola, podporządkowana bezdusznemu Ojcu, który wiele oczekuje od człowieka, a niczego nie daje mu w zamian. Staruszek Bóg ma długą siwą brodę – nie dowidzi i nie dosłyszysz – myślą. Ponadto jest skory do gniewu, surowy, wybuchowy i zgorzkniały. Trudno jest Go zadowolić. Jest to w końcu staruszek, więc nie ma się co dziwić, że zachowuje się, jak ludzie w podeszłym wieku.

Przyjacielu, tak było ze mną. Przed moim nawróceniem byłam jak faryzeuszka – człowiekiem tylko religijnym. Nie znałam osobiście Boga. Owszem, na wszelki wypadek szanowałam Go, aby nie narazić się na Jego gniew. Wolałam nie dać się zaskoczyć i złapać na gorącym uczynku. Przyznam się, że pomimo tego, Bóg mnie zaskoczył w najbardziej nieoczekiwany sposób. Przygotował dla mnie niespodziankę, która przeszła moje najśmielsze oczekiwania, a był nią dar zbawienia. Bóg ukazał mi się jako światłość mojego życia. Sam Wszechmogący Bóg dał mi się poznać przez swojego Syna. Zobaczyłam Go zupełnie inaczej, niż malowała Go wiara ojców. Okazał się Miłością, Przebaczeniem, Drogą i Zbawieniem.

Nie tylko ja jestem Nim zafascynowana. Ci, którzy doświadczyli Jego łaski, żyjąc w bliskości z Nim, twierdzą, że jest najbardziej ujmującą ze wszystkich żywych istot, jakie poznali w życiu. Prawdziwy Bóg ma również ogromne poczucie humoru.

Zaskakuje człowieka swoimi rozwiązaniami problemów. Życie z Nim pozbawione jest monotonii i tzw. szarzynny dnia codziennego. Ci, którzy Mu ufają, nie zawiodą się. Jego łaska i miłosierdzie górują zawsze nad wymaganiami prawa. Bóg obcuje z tymi, którzy do Niego należą w bezpośredni, prosty i otwarty sposób. On uzdrowia duchowo i fizycznie, daje udręczonej ludzkiej duszy odpoczynek i pokój. Jest stały i niezmienny – *Wczoraj, dziś i na wieki, zawsze ten sam* (Hbr 13,8). Nie zadawała Go połowa ludzkiego serca. Nie satysfakcjonuje Go zewnętrzna pobożność. Jest Bogiem zazdrosnym o ludzkie serce (2 Mz 20,5 oraz 2 Kor 11,2).

Jako dobry Ojciec napomina i karci swoje dzieci. Nigdy jednak nie wymaga od nas czegoś, co przekraczałoby nasze możliwości. Rozumie naszą ludzką niedoskonałość i ulomność, dlatego poucza, wskazuje właściwy sposób wykonywania swojej woli. Docenia ludzki wysiłek w tym względzie. Kocha nas takimi, jakimi jesteśmy.

Dlaczego wobec tego tak wielu ludzi nie chce wyzwolić się z wypaczonych wyobrażeń o Bogu? Ponieważ prawda podkopuje ich wolność osobistą. Ze służby Bogu czynią uciążliwy i ponury obowiązek, poprzez który odbierają własną chwałę. Natomiast tych, którzy entuzjastycznie służą Bogu, uważają za fanatyków. Nie pozwalają Bogu uczestniczyć w tym wszystkim, co sami robią. Gdy uczynią coś nadzwyczajnego, przypisują to własnym umiejętnościom, sprytowi, zapobiegliwości. W tych samych okolicznościach dziecko Boże powie: „Zrobiłem to dzięki pomocy Pana. Było trudno, ale prosiłem Go o pomoc i On mi pomógł”.

Drogi czytelniku, jeśli jesteś pod presją tradycji religijnej, zobowiązującej cię do pełnienia tzw. dobrych uczynków, byłoby dla ciebie dobrze, gdybyś wyrwał się z tego kręgu nacisku duchowego i zrobił coś, do czego zachęca Słowo Boże. *Skosztuj jak dobry jest Pan*, a zobaczysz, że Jego brzemień nie jest uciążliwe. Czasami może nas doświadczać, to prawda, lecz także wtedy czyni to z sercem. Jak czuły ojciec raduje się z dziecka, nie bacząc na jego wady i słabości, ale w swej mądrości pragnie je skorygować. Niektórzy są zażenowani tym, że Bóg wszystko wie, zna każdą naszą myśl, każdy nasz zamysł.

Bóg jest cierpliwy i zawsze ma dobrą wolę wobec nas. Bardziej Go ucieszymy, gdy poddamy się Jego woli niż gdy będziemy zabiegać, aby stać się dobrymi, lepszymi i jeszcze lepszymi niż jesteśmy. Pan chce, abyśmy przyszedli do Niego tacy, jacy jesteśmy, abyśmy zdjęli maski i nie udawali kogoś innego. Bóg chce nas przyjąć ze wszystkimi naszymi ludzkimi ułomnościami. Chce, abyśmy przychodzili przed Jego tron z przekonaniem, że On ma moc dokonać zmian w naszym życiu.

Pewnego dnia ten wspaniały Bóg w osobie Jezusa Chrystusa znalazł mnie w tym świecie i zaoferował mi swoją łaskę. Powiedział, przez swoje Słowo, że chce zamieszkać w moim sercu, wsiąść do łodzi mojego życia, karmić mnie wodą życia, dać mi Ducha Świętego, zbawić mnie. Jakże mogłabym odmówić? Tym bardziej, że wcześniej szukałam Go wszędzie. To była Jego odpowiedź na pragnienie mojego serca. Bóg jest naprawdę hojny. Jego szczodroblivość nie ma granic.



*Wcześniej myślałam, że po prostu
wystarczy płynąć tożdzią ludzkiego życia.
Tymczasem trzeba jeszcze wiedzieć,
dokąd się płynie, znać kurs tożdzi.
Trzeba być pewnym, że kurs jest
właściwy. Trzeba umieć do płynąć do celu.*

Otwórzmy Biblię w miejscu, gdzie apostoł Jan opowiada o tym, jak uczniowie Pana Jezusa, płynąc po morzu, mieli trudności w osiągnięciu wybranego brzegu (J 6,16-21). Z relacji tej dowiadujemy się, że wypłynęli na morze z zamiarem dotarcia do Kafarnaum. Mieli łódź, niezbędne doświadczenie i obrany cel rejsu. Nie mieli jednak w łodzi Jezusa.

Nieprzypadkowo Nauczyciel wysłał ich samych w ten rejs. Jako Jego uczniowie potrzebowali w życiu stałej obecności Pana. Pan Jezus przygotowywał ich w ten sposób do bycia prawdziwymi i dojrzałymi chrześcijanami. Była więc to następna lekcja, która miała ich tego nauczyć.

Wypłynęli na morze w kierunku Kafarnaum, nie spodziewając się niczego nadzwyczajnego. Tyle razy odbywali podróż po tym akwenie. Jednak ta podróż ich zaskoczyła. Zapadła ciemność. Utrzymywanie właściwego kursu było skomplikowane. Zerwał się silny wiatr, morze się burzyło, a łódź była miotana przez fale na różne strony. Dotarcie do wybranego celu stawało się coraz trudniejsze.

Zastanawiając się nad głębią tej historii, możemy dokonać pewnych porównań. Co oznacza morze? Jest to obraz świata. Płynąc po nim łódź można porównać do życia ludzkiego. Gdy do tego obrazu dodamy jeszcze inne okoliczności, jak ciemności i fale rzucające łodzią tu i tam – mamy doskonałą ilustrację swojego życia na ziemi.

*Mnóstwo ludzi próbuje „wiostować” w świecie bez Jezusa,
więc są miotani, jak tępinki orzecha po wzburzonym oceanie.
Apostoł Paweł mówi o tych ludziach, że nie mają nadziei,
bo są bez Boga na świecie. To całe ich nieszczęście,
bo bez żywego Boga u boku człowiek jest zgubiony.*

Niedobrze jest, gdy człowiek podąża przez życie bez Jezusa. Wtedy sam toczy walkę z falami. Przekracza ona ludzkie możliwości. Skutkiem tego człowiek złorzeczy wszystkim dookoła. Męczy się, gdy w łodzi nie ma Pana, a dookoła panuje ciemność. Dotarcie do wielu obranych celów jest wówczas niemożliwe. Niezależnie od czynionych wysiłków, upragniony cel będzie pozostawał nieosiągalny.

Niektórzy ludzie wytyczyli sobie w życiu dokładny cel, z wszelkimi szczegółami. Pragną za wszelką cenę dotrzeć do niego. Tym wymarzoną brzegiem może być czyste i spokojne sumienie, osiągnięcie wewnętrznej pokój bądź poczucie spełnienia. Inni „żeglują”, aby potwierdzić własną wartość i przydatność, zdobyć pełną akceptację, znaleźć prawdziwych przyjaciół. Sami kosztem wielkich wyrzeczeń usiłują dotrzeć do jakiegoś upragnionego brzegu i nie mogą się doczekać finału podróży. Niektórzy „wiosłują” już bardzo długo i są, jak uczniowie Jezusa na morzu, bardzo utrudzeni. Nachodzi ich zniechęcenie i nawet załamanie. Ludzie o tzw. niezłomnych zasadach, chcąc być porządnymi, lepszymi, walczą z falami, które obrazują grzech. Walka ta jest bezskuteczna, bo bez Jezusa człowiek jest wydany na jego pastwę!

Wróćmy ponownie do uczniowskiej łodzi na morzu, gdyż stało się tam coś bardzo ważnego, coś, co radykalnie zmieniło sytuację. Przyszedł Jezus! Przybył na ratunek, aby pomóc swoim uczniom dopłynąć do celu. Nie zapomniał o nich, nie zostawił ich na pastwę losu, nie spóźnił się ze swoją pomocą. Przecież On nigdy nie zawodzi. Zawsze przychodzi w porę. Przyszedł, aby uczynić to, czego sami nie byli w stanie zrobić. Jego kojące słowa: *Nie bójcie się, bo Ja jestem*, wniosły pokój do ich zatrzwożonych serc. Mieli już tak bardzo dosyć samodzielnego podróżowania, że zaprosili Jezusa do łodzi. My także pójdźmy za ich przykładem i przestańmy samotnie zmagać się z przeciwnościami. Nie należy się martwić.

Drogi przyjacielu, nie bój się burz i sztormów w twoim życiu. Nie tylko fale przeciwności działają w tym świecie, nie tylko diabeł na nim działa. Nie patrz na zło, które on czyni. Spójrz na Jezusa, na cudownego Zbawiciela, najlepszego sternika. On przez Swoją śmierć pojednał świat z Bogiem, zmartwychwstał i w Duchu Świętym przychodzi do nas, aby nam pomóc, wesprzeć w potrzebie.

*Gdy Jezus wszedł do łodzi, zaproszony przez uczniów,
stała się rzecz zdumiewająca! Łódź od razu przybita
do brzegu, do którego płynęli.*

*Pomimo że byli doświadczonymi wiosłarzami,
im samym było bardzo trudno osiągnąć cel,
ale w obecności Jezusa – dotarli do brzegu bezpiecznie.*

On zawsze wskazuje drogę wyjścia...

Z tej historii możemy wyciągnąć tylko jeden słuszny wniosek. Koniecznie potrzebujemy obecności Pana Jezusa w łodzi naszego życia. Nie wystarczy tylko wiedzieć, że jest On Zbawicielem świata. Trzeba Go zaprosić do łodzi swojego życia i oddać ster w Jego ręce. Przestań się więc męczyć życiem, tą walką z falami. Tracisz całą energię, denerwujesz się lub czasami godzisz się na taką dołę. A po co? Zaniechaj działań na własną rękę i posłusznie poddaj się Ewangelii Chrystusowej. Popatrz na tę scenę raz jeszcze. Gdy uczniowie wpuścili Pana Jezusa do łodzi, wtedy dopiero przybili do brzegu. Twoja łódź – podobnie – osiągnie cel, gdy zaprosisz do niej Pana. On czeka! Niezależnie od różnych dążeń o charakterze tymczasowym, wszyscy mamy jeden, podstawowy. Jest nim zbawienie w Jezusie Chrystusie – życie wieczne. Dopóki jednak nie zaprosimy Go do naszej łodzi, nie oddamy steru w Jego święte dłonie, dopóty cel ten

będzie nieosiągalny. Nie mamy też żadnej pewności, że bez Jezusa uda się nam osiągnąć jakikolwiek inny cel o charakterze doczesnym. Czeką więc nas podwójna strata.

Gdy płyniemy spokojnie po morzu i słońce świeci, może się nam wydawać, że obraliśmy właściwy kierunek. Ale co się stanie, gdy zapadnie ciemność i nastanie burza? Wiele łodzi w takich warunkach zatoniło wraz z pasażerami, gdyż nie było w nich Jezusa.

Nasza łódź, dzięki łasce Bożej – jeszcze płynie, jeszcze utrzymuje się na powierzchni wody. Nie ryzykujemy dłużej. Nie trudźmy się sami, bo to nie ma sensu. Bez Jezusa płyniemy donikąd, gdyż tylko w Nim jest wszelka nadzieja. On jest Drogą, Prawdą i Życiem.

Zwróćmy uwagę na to, że Jego oferta może się już nigdy dla nas nie powtórzyć. Nie mamy żadnej gwarancji, że wśród życiowych sztormów zjawi się ponownie! Możemy nie mieć więcej okazji, aby zaprosić Go do łodzi naszego życia i odstąpić Mu najważniejsze miejsce przy sterze. Nie łudźmy się, że płynąc bez Jezusa, jesteśmy panami naszej łodzi. Gdy nie ma z nami Chrystusa, to z całą pewnością sternikiem łodzi jest szatan. Pamiętajmy – on jest kłamcą i ciągle stara się nas przekonywać, że nie jest z nami tak źle, że naprawdę nic złego nam nie grozi i że wszystko, co posiadamy, zawdzięczamy sobie. Niezależnie od naszej świadomości, naszej woli, wywiera na nas wpływ, a cel jego zabiegów jest prosty. Szatan chce, aby nasza łódź błąkała się po wodach tego świata, nie znajdując pewnej przystani, by w końcu poszła na dno, bez żadnej nadziei. Na szczęście, dzięki łasce Bożej jest dla nas ratunek.

Gdy Pan wkracza w nasze życie na nasze zaproszenie i zajmuje naczelne miejsce, zwodziciel musi się z niego wynieść. Zaprosz więc szybko, przyjacielu, Jezusa do swojej łodzi, a dotrzesz do celu i żadna burza cię nie przestraszy. Dedykuję ci pieśń, która o tym mówi...

*Z mgieł wichur catun tka, okrywa nim mą łódź,
Pod moim sterem cicho fala tka i szepcze: wróć, ach wróć.
Ja w dal nieznaną tak wzbijam swój trwożny wzrok,
Przez wód odmęty, chmury, mocny mrok, ja płynę w dal...
Chciałbym, ach, chciałbym już zatrzymać todzi bieg.
Uniknąć życia tego groźnych burz i wyjść na pewien brzeg,
Lecz że mnie życia wciąż unosi wartki prąd,
Ty, Jezu, wywiedz mnie na pewny ląd,
Ty bądź sternikiem mym!*





Przepisy Samarytanki

Ciasteczka owsiane

Składniki:

- 1 szklanka płatków owsianych
- 1 szklanka mąki
- $\frac{1}{4}$ szklanki oleju
- 1 szklanka otrębów pszennych lub owsianych
- $\frac{1}{2}$ szklanki słonecznika, goi,
- $\frac{1}{2}$ szklanki siemienia lnianego
- 1 jajko
- 1 szklanka soku jabłkowego
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- szczypta soli
- 1 łyżka miodu



Sposób wykonania:

Jajko, olej i sok połączyć. Następnie dodać suche składniki i wymieszać dokładnie. Zostawić na 10 minut. Formować kulki i na blaszce wyłożonej papierem układać je, nieco spłaszczając. Piec około 15-20 min w temp. 200 stopni C.

Sałatka jarzynowa

Sposób wykonania:

Delikatnie wymieszać: 6-10 jaj ugotowanych na twardo i pokrojonych w kosteczkę, seler konserwowy, ananas w kawałkach, paprykę konserwową pokrojoną w kosteczkę, fasolkę ciemną z puszki, cebulkę pokrojoną w kosteczkę, majonez. Smacznego!

Smacznego!

Spotkania

W najbliższym czasie spotkania z Czytelniczkami „Samarytanki” planujemy w następujących miejscowościach: Jastrzębie, Radom i Starachowice.

Jastrzębie, ul. Kościelna 1

tel. 32 473 67 76

sobota, 1 marca, godz. 11.00-16.00

temat: **Biblijne sekrety kobiecego piękna**

wykl. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

Radom, ul. Okulickiego 9A

tel. 603 752 530

sobota, 8 marca, godz. 15.00-19.00

temat: **Być kobietą zrównoważoną emocjonalnie**

wykl. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

Starachowice, ul. Wierzbowa 54

tel. 41 273 35 37

niedziela, 9 marca, godz. 13.00-17.00

temat: **Biblijne sekrety kobiecego piękna**

wykl. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

Jeżeli jesteś zainteresowana poruszaną w naszym czasopiśmie tematyką, jeżeli masz problem i potrzebujesz modlitwy lub porady duszpasterskiej, napisz do nas na adres:

W następnym numerze:

Przeszkoda w moim małżeństwie

Młoda mężatka, Erin, zmagająca się z wieloma trudnościami w swoim małżeństwie. Była przekonana, że Bóg dał jej misję: zmienić męża na lepsze. Ponieważ oboje byli upartymi ludźmi, z łatwością można sobie wyobrazić, jak wyglądało ich codzienne życie. Była przekonana, że główną przeszkodą do szczęśliwego życia jest jej mąż. To historia o tym, jak Bóg pokazał jej, że przyczyna leży gdzie indziej i w jaki sposób pomógł jej pokonać tę przeszkodę.

Jak modlić się o swoje dzieci?

Nancy podaje kilkanaście wskazówek, jak codziennie modlić się o swoje dzieci, wnuki czy prawnuki. Są one opracowane na podstawie wersetów biblijnych i w bardzo praktyczny sposób mogą pomóc w modlitwie o naszych najbliższych.

Jedno czarne i jedno białe

Niesamowite świadectwo matki pięciorga dzieci, której Bóg objawił we śnie, że będzie miała możliwość zaadoptować dwoje dzieci z Ugandy. Początkowo myślała, że to zwykły sen wynikający z faktu, że miała kiedyś pragnienie, by zaadoptować dziecko. Z tego świadectwa dowiemy się, jaki niezwykle plan miał Bóg dla dwójki dzieci oraz rodziny, która była gotowa, by pójść za Jego głosem. To świadectwo będzie z pewnością ogromną inspiracją dla rodzin, które zastanawiają się nad podjęciem decyzji o adopcji.

Zapraszamy na naszą stronę
www.chmk.kz.pl

Samarytanka

Skrytka pocztowa 17, 43-430 Skoczów

tel. 33 853 24 17

e-mail: tatiana.hydzyk@gmail.com

Gdy pochylasz się czule nade mną
I gdy bierzesz w Swe ręce moją twarz
To me usta drżą, pod Twym spojrzeniem
bledną
Bo już wiem i to czuję, że coś dla mnie
masz.

I cała cichnę pod Twym Boskim
spojrzeniem
I już nie ma nocy, i już nie ma miast
I ten świat, który nic nie znaczy
Staje się niemym dźwiękiem wśród
milionów gwiazd.

Barbara Lewandowska

